



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

T R E S C: *Polityka:* Germanizacja szkoły. — Z Austrii, p. S. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Oksana, szkic sielankowy, p. Włodzimierza Wysockiego (ciąg dalszy). — *Życie społeczne:* Listy petersburskie, p. N. B. — Karol Marx (w życiu prywatnym), p. R. K. — *Badania naukowe:* Z dziejów feudalizmu, p. L. W. — *Literatura i sztuka:* Listy wiedeńskie, p. Stwosza. — Śród muz, IX, p. Cezarego Jelente. — Teatr, p. Zenona Pletkiewicza. — *Fejleton:* Librum veto, p. Poła Prawdy. — Na widnokręgu, p. Z. Atanazego. — Unikat literacki, II, p. A. S. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

GERMANIZACJA SZKOŁY.

Warszawski Dniownik na podstawie *Ślawiańskich Izwiestij* podaje krótką historię zniemczenia szkoły w Poznańskim i Prusach zachodnich. Jakkolwiek pojedyncze rysy tego obrazu są znane, w połączeniu przedstawiają proces historyczny bardzo pouczający. Powtórzymy więc je za dziennikiem ruskim.

Rząd pruski zwrócił oddawna szczególną uwagę na sprawę oświaty w swoich dzielnicach polskich. Był to wynik jego dążeń do połączenia z nią germanizacji. W tym celu przed dwudziestu laty podjęto przekształcenie szkół polskich na niemieckie w Poznańskim, Prusach zachodnich i górnym Szląsku. Podczas t. zw. „walki kulturalnej“ zrobiono pierwszy ważny krok, wprowadziwszy język niemiecki do szkół wiejskich. Polski pozostał tylko w czterech lub sześciu lekcjach tygodniowo oraz w wykładzie religii. Ale już w r. 1872 nadprezydent prowincji poznańskiej wydał rozporządzenie, polecające używać niemieckiego do uczenia religii tam, gdzie dzieci są odpowiednio ku temu przygotowane. Na mocy tego okólnika inspektorowie okręgowi wprowadzili w wyższych klasach wielu szkół polskich język niemiecki do wykładu religii i tem się tłumaczy fakt, dlaczego uczniowie katolicy uczyli się jej w jednych zakładach po niemiecku, a w innych po polsku. Zmarły arcybiskup Dinder zajął stanowisko polaków i chciał przywrócić lub utrzymać dla ich dzieci język ojczysty. Ale to stanowisko nie odpowiadało zamiarom rządu.

Przed sześcioma laty zarząd prowincji poznańskiej postanowił wykonać rozkaz nadprezydenta 1872 r. i polecił, ażeby uczniom wszystkich szkół i klas zaczęto wy-

klądać po niemiecku. Ale ówczesny stan polityczny Niemiec nie sprzyjał temu pokuszeniu i dlatego ono się nie udało. Protestem i skargami o gwałt polacy zdołali oddziaływać na ministra oświaty, który zniósł to rozporządzenie po kilku zaledwie miesiącach próby. Ale wkrótce nastąpił zwrot przeciwny: germanizatorskie ustawy z roku 1886 przyniosły szereg uciążliwych przepisów dla szkoły wiejskiej, której nadały charakter niemiecki. Nareszcie reskryptem ministra z 1888 r. wykłady polskie we wszystkich wyższych i niższych szkołach ludowych w Poznańskim, Prusach zachodnich i okręgu Opolskim zostały zniesione.

Był to — według *Izwiestij* — ostateczny cios dla mowy polskiej w sferze oświaty. Wkrótce bowiem reskrypt ów rozszerzono na wszystkie zakłady naukowe w Poznańskim. Obecnie mowa ta pozostała tylko jako przedmiot nauki gimnazjalnej, obowiązującej w skromnym, elementarnym zakresie uczniów obu narodowości.

Tymi śmiałymi środkami szkoła polska w Prusach została doszczętnie zgermanizowana, gdyż uczniowie muszą myśleć, pisać i mówić po niemiecku, zwłaszcza że nieodpowiednich założeniu rządowemu nauczycieli przeniesiono do prowincji niemieckich, a na ich miejsce sprowadzono około 400 germanizatorów. Najlepszym zaś dowodem osiągnięcia pożądanego rezultatu jest zaprzestanie tych przenosin. Dziś są one już niepotrzebne.

Ponieważ wszakże ostatecznym celem rządu nie było zniemczenie szkoły, jako instytucji, ale jako skutecznego narzędzia germanizacji kraju, nietylko więc zmieniono w niej sposób wykładu i siły nauczycielskie, ale nadto spotęgowano jej wpływ zewnętrzny: założono ją wszędzie, w każdej niemal wiosce, obowiązkiem uczęszczania spędzono dzieci, tak, że dziś w dzielnicach polskich procent nieumiejących pisać i czytać jest niezmiernie mały. Corocznie nauczyciele z czterech okręgów zbierają się na naradę co do dalszego postępowania. „Przy tej gorliwości i tem dążeniu — powiadają

Izwiestija — wkrótce szkoła ludowa dojdzie do tego, że w niczem nie będzie ustępowała prowincjom staropruskim, a pod niejednym względem je przewyższy.“ Choć ukończenie dzieła wymaga jeszcze czasu, jednakże gazeta ruska przyznaje, że już dziś widocznym jest „smutny postęp zniemczenia polaków w Prusach.“ O jakimkolwiek zwrocie lub powrocie do dawnych stosunków nie może być mowy, zwłaszcza dopóki na czele ministerium oświaty stoi energiczny i wytrwały germanizator Gossler. Spodziewano się, że po ustąpieniu Bismarcka sprawdzi się wyrażenie Schillera: „gdy książę upadnie, upadnie i płaszcz jego,“ była to jednak nadzieja złudna. I kto wie nawet, czy Gossler nie jest głównie utrzymywany dla przeprowadzenia do końca germanizacji w Poznańskim i Prusach zachodnich. On ją głównie popchnął naprzód, on jej obmyślił najskuteczniejsze środki, on udaremnił wszelkie starania dotkniętych jego polityką i ich opiekunów, on podciął korzenie rozmaitym „kwestyom“ językowym na gruncie wychowania publicznego — on więc zostać musi przy ostatecznym kierunku. Ks. Stablewski i p. Kosielski byli na obiedzie u kanclerza Caprieviego, gdzie znajdował się również cesarz niemiecki, który z nimi rozmawiał, ale chyba już dziś nikt z takich zaproszeń i rozmów nie wywodzi wróżb o zmianie systemu.

Z AUSTRII.

Walka państwa z Kościołem w parlamencie węgierskim. — Magnaci węgierscy dziś a dawniej. — Hrabia M. Esterhazy. — Zwycięstwo stronnictwa młodo-słowiańskiego w sejmie kraińskim i zachowanie się kleru słoweńskiego.

Kiedy po ustąpieniu Tiszy hr. Szapary objął ster wewnętrznej polityki węgierskiej, wiedziano wprawdzie, że gabinet jego opiera się na większości liberalnej, lecz obawiano się, że liberalizm nowego rządu nie wytrzyma ataków reakcyjnych. Tymczasem zaraz przy pierwszej dyskusji budżetowej

nadarzyła się sposobność do wypróbowania dzielności nowego ministerium, a z próby tej wyszedł gabinet Szaparego zwycięsko. Czytelnicy *Prawdy* znają już sprawę nielegalnych chrztów, dokonywanych w Węgrzech przez duchowieństwo katolickie. Hr. Csaky, obecny minister wyznań i oświecenia, wydał edykt przypominający duchowieństwu ustawę z r. 1868, według której synowie pochodzący z małżeństw mieszanych wychowywani być mają w religii ojców, córki zaś w wyznaniu matek. Podczas gdy biskupi przez lat dwadzieścia ustawy tej nie zaczęli i do dziś dnia urzędownie pozostają z nią w zgodzie, niższe duchowieństwo w ostatnich czasach nie tylko ją pomijało, zapisując do ksiąg metrykalnych dzieci obu płci, lecz rozpoczęło szeroką agitację przeciw rozporządzeniu ministra, a pośrednio przeciw samej ustawie. Po której stronie słuszność, łatwo rozstrzygnie pocucie sprawiedliwości każdego człowieka nieuprzedzonego; Kościół katolicki żąda prerogatywy, którą przyznać by mu można tylko ze szkodą wyznania protestanckiego. Lecz w gruncie rzeczy sprawa ta nie jest tak doniosłą dla katolicyzmu, jakby sądzić można z miary jego zabiegów i rozgłosu, jaki jej nadał. Zdaje się raczej, że jest to tylko sposobność do rozpoczęcia walki z liberalizmem, do wskrzeszenia minionej potęgi kół ultramontanów drogą podżegania mas. Niższe duchowieństwo węgierskie widząc, z jakim powodzeniem w Austrii odbywa się agitacja klerykalna, pozazdrościło kolegom przedlitawskim zwiększonego wpływu. Episkopat węgierski, jak wiadomo, niezmiernie bogaty i wpływowy, niezbyt zadowolony jest z podjęcia tej walki, która mu tylko przysparza kłopotów, a która, jakżeśmy wspomnieli, dla Kościoła wielkiej doniosłości nie posiada; więc wprawdzie zsolidaryzował się z postępowaniem niższego kleru, lecz dotychczas dość chłodno się zachowuje. Kiedy mu zatelegrafowano, iż zamiar poruszenia tej sprawy na pierwszym wielkiem zgromadzeniu nie udał się, prymas odpowiedział krótko: szkoda. Wobec tego niższe duchowieństwo nie kryje się ze swym niezadowoleniem, owszem, publicznie wzywa episkopat do energiczniejszego wystąpienia. Nie bez racji więc hr. Csaky w przemowie swej zajął się nazwał wewnętrzną rewolucją kościelną.

Opozycja użyła dyskusji budżetowej, aby zmusić rząd do otwartego wypowiedzenia się. Tymczasem już w przeddzień hr. Sza-

pary w klubie liberalnym oświadczył niedwuznacznie, jakie stanowisko zająć zamysła, opierając się bezwzględnie na uchwałach narady ministrów w zamku królewskim. Rząd uważa ustawę z r. 1868 jako zupełnie słuszną, potrzeby rewizji jej nie uznaje, owszem z całą energią przeprowadzić ją zamysła. Klub liberalny, upatrując w tej kwestyi doniosłą stronę polityczną, zsolidaryzował się z rządem i w ten sposób ministerium, zanim wystąpiło w parlamencie, miało zapewnione poparcie większości. To też przemowę hr. Szaparego i hr. Csaky'ego odznaczały się niezwykłą ciętością i śmiałością. Kiedy Daniel Iranyi, jak co roku, rozpoczął dyskusję budżetową wnioskiem określenia swobody wyznaniowej, poruszając przytem sprawę edyktu hr. Csaky'ego, Szapary w odpowiedzi zaznaczył, że gdyby niesnaski i nieporządki wynikające z oporu duchowieństwa przeciw odnośnemu edyktowi nie ustały, wówczas rząd pomyśli o usunięciu ich radykalnem drogą prawodawczą; prowadzenie ksiąg metrykalnych powierzone zostanie urzędnikom cywilnym, państwowym. Jest to groźba tem skuteczniejsza, ile że w takim razie dochody duchowieństwa uszczupliłyby się dotkliwie.

Z większą jeszcze stanowczością wystąpił hr. Csaky. Przypomniawszy on, że kiedy pojawiło się jego rozporządzenie, biskupi węgierscy oświadczyli na konferencji umyślnie zwolanej, że ono z żadnym dogmatem w sprzeczności nie pozostaje i że zgodzić się nań można. Zresztą cokolwiek by sądził i postanowił Kościół, nie naruszyłoby to powagi państwa, ani prawomocności edyktu ministra odpowiedzialnego; ustawodawstwo bowiem jest najwyższem i ostatniem forum, rozstrzygającym o takich kwestiach.

W niewielu chyba krajach członkowie wyższej arystokracji tak odważnie stanęliby na czele obozu liberalnego i w ten sposób prowadziliby walkę z Kościołem. A i w Węgrzech pierwsze to pokolenie magnatów, które tak przemawia. Zmarły niedawno M. Esterhazy był arystokratą całkiem innego pokroju. Wiadomo, iż niegdyś kierował całą zewnętrzną i wewnętrzną polityką Austro-Węgier. Zanim wstąpił do gabinetu Smerlinga, był posłem u tronu papieskiego, a całe jego postępowanie późniejsze dowiodło, jak ściśle zawiązał przyjaźń w Rzymie z kołami klerykalnymi. W gabinecie Smerlinga odegrał on poniekąd rolę Wallenroda; miał zamiar obalić go

wraz z systemem jego, co też w zupełności wykonał. Jego to dziełem było utworzenie owego gabinetu hrabiowskiego, który zawiesił konstytucję i doprowadził Austrię do klęsk pruskich. Hr. Esterhazy był wówczas właściwym kierownikiem polityki austriackiej, mimo iż hr. Menssdorf-Pouilly dzierżył tękę spraw zewnętrznych. Posiadał on pełne zaufanie cesarza, wybierał posłów, a z otoczenia swego wykluczył ludzi samostannie myślących. Zdradził kilkakrotnie zaufanie monarchy, interes papieża bowiem był mu zawsze droższym, aniżeli interes Austrii.

Dziś Kościół coraz mniej święci tryumfów podobnych. To, co się obecnie odgrywa w diecezyi biskupa Strossmayera, niemiłe budzić musi zdumienie Watykanu. Wiadomo, że w obozie słowiańskim odbył się podobny proces polityczny w Czechach: konserwatyści, chętni do układów z Niemcami i z rządem, pozbawieni zostali przewagi przez stronnictwo młodych, które wypisało na sztandarze swym bezwzględna walkę z Niemcami w obronie narodowości własnej. Stronnictwo to, poczuwszy siłę, zrzuciło do reszty zasłone i głosi obecnie, że połączenie Krainy i całego nadbrzeża z obszarami słowiańskimi Styryi i Karyntyi bynajmniej nie jest najdalej idącym jego programem. Przyznaje się otwarcie do programu panslawistycznego, a temsamem podkopuje stanowisko zdobyte dziś wobec rządu. W Wiedniu zdecydowano się bowiem do znacznych dlatego stronnictwa ustępstw i wyznaczono jako namiestnika barona Winklera, który otwarcie popierał dążenia słowiańskie. Lecz liberalny ten namiestnik zbyt jeszcze był powolnym dla niecierpliwych młodo-słowiańców; to też onegdaj w sejmie Krasińskim zgotowali mu klęskę, która zachwiać może jego stanowisko. Najciekawszem zaś jest to, że młodo-słowiańcy zwycięstwo swe zawdzięczają poparciu klerykałów, którzy opuścili konserwatystów i połączyli się z narodowcami radykalnymi. Jeszcze przed kilku laty biskupi w swych listach pasterskich młodo-słowiańców obwiniali o zdradę stanu. Dziś młode pokolenie kleru zajęło stanowisko wybitniejsze, a dla pokolenia tego względy narodowościowe przeważają nad interesem Kościoła. Gotuje się ono do dalszej walki z uczuciem tryumfu, wie bowiem, że kler jego przeważny wywiera wpływ na lud i niemal całkowicie rozstrzyga o wyborach. W każdym razie będzie to walka trudna, gdyż przyznawszy

2)

OKSANA

SZKIC SIELANKOWY,

napisał

Włodzimierz Wysocki.

IV.

Taką drogą dopłynąłem
Do samotnej chatki malej,
Która stoi tuż na brzegu,
Przytuliwszy się do skały.
Nęca, wabią mnie, mrugając,
Dwa okienka w białej ścianie,
Zachodzące słońce właśnie
Swe promienie rzuca na nie.
Po nad strzechą sosen para
Roztoczyła swe korony,
Obok krzaki leszczynowe,
Grab wysmukły, młode klony,
Ale niema ni podwórka,
Ani jakiej bądź zagrody,
Tylko czółno przewrócone,
Wydobyte na pół z wody
I rozeschła dzieża stara

Stoi tuż przy progu chatki;
Nad oknami — pod okopem
Suszą się dwie białe szmatki,
A na piasku żółtym leży
Para saków i wiewiórki.

Przy tem czółnie, co kadłubem
Swym wypięło się do góry,
Siedzi człowiek i zapycha
Smolne kłaki w jego dziury.
Twarz spalona, oliwkowa
Lśniaca niby pod pokostem,
Okolona skołtunionym
Siwiejącym już zarostem;
A na głowie włos ciemniejszy
Zakrył czoło taką grzywą,
Że z pod niego ledwie widać
Dwoje oczu patrzących żywo.
Na nim tylko spodnie zgrzebne,
Zasmolone, z wielką łatą
I koszula, z po za której
Widać ciemną pierś kosmatą.
Spodnie w górę zakasane
Obnażyły bosc nogi
I kosmate łydki suche
Oplecione w żył batogi;
Postać cała ciemna, zwiędła,
Jak u tych, co walczą z nędzą,

Wciąż na słońcu, wietrze, słońcu
Napółnagie członki wędzą.

Gdym go witał: „Sława Bohu!”

Nie poruszył nawet głową,
Tylko spojrzął z pod swej grzywy
Jakoś chmurnie i surowo.
I znów schylił się nad łodzią,
Coś w niej dłubiąc czarną ręką.
Ja tymczasem ku wybrzeżu
Skierowałem swe czółenka.
— Czy nie macie — pytam — mleka?
Co należy, to zapłacę...
Rybak znowu spojrzął na mnie
I przerwał swoją pracę,
Zwrócił nieco w stronę chaty
Głowę mocno rozczochraną
I matowym, głuchym głosem
Począł wołać: hej! Oksano!..

Drzwi skrzypnęły, a w ich ramie
Na tle ciemnem małych sionek,
Jak obrazek najpiękniejszy,
Jak wcielenie młodych mrzonek,
Nimfa leśna, czy Undina
Ukazała się dziewczyna!
Wprawdzie nic w niej niezwykłego:
Była w stroju prostej chłopki,
Nawet bosa... przytem miała

się do idei wszechsłowiańskiej, młodo-słowieńcy zgotowali sobie nieubłaganego przeciwnika w rządzie.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po długich męczarniach zmarł nareszcie Wilhelm III, król holenderski, przeżywszy lat 73. Pozostawia on z drugiej żony (z pierwszej dwu synów utracił) dziesięcioletnią córkę, jedyną następczynię tronu, która dojrzeć będzie pod opieką matki, jako regentki. Tron książęcy Luksemburga przejdzie w spadku na Adolfa Nassauskiego, który już go objął w posiadanie. Nieboszczyk był ostatnim męskim potomkiem domu orańsko-nassauskiego, który przez trzy stulecia dostarczał Holandii królów. Zaprzysięgłszy świeżo przed wstąpieniem jego na tron (1848) ogłoszoną konstytucję, dochował swych słubów wiernie i chociaż w duszy nie sympatyzował z liberałami, pozwolił im długo rządzić. Panowanie jego nie obfitowało ani w ważne wypadki, ani w wojny. Zniechęciwszy się szybko do żony, księżny Zofii Wirtemberskiej, przebywał głównie za granicą, bacząc tylko, ażeby maszyną konstytucyjną działała prawidłowo.

Drobny i w istocie swej marny fakt, może spowodować ważną zmianę w stosunkach angielsko-irlandzkich. Po chybionej grze w podrabiane listy, którą ich fałszerz Pigott zdradził, zaczęto w Anglii rozgrzebywać prywatne życie Parnella i znaleziono w nim panią O'Shea, mężatkę. Jej małżonek, chociaż długo patrzył pobłażliwie na niewierność swej żony, a nawet za swą filozoficzną obojętność brał pieniądze, nagle uczuł zgrozę i złożył swe mężowskie rogi przed sądem. Orzeczonego rozwód z jej winy i jej kochanka. Naturalnie gazety angielskie natychmiast postawiły pytanie, czy Parnell po takim „zniesławieniu się“ może być dalej przywódcą irlandczyków? Ci odpowiedzieli, że może i będzie, gdyż sprawy osobiste Parnella ich nie obchodzą. Wtedy wytoczyła się armata największego kalibru, Gladstone, który oświadczył, że w takim razie złoży przewodnictwo partii liberalnej. Jak to głupstwo może z rozumem żyć zgodnie w jednej głowie!

Mowa tronowa angielska przy otwarciu parlamentu nie wypowiedziała nic nowego i ciekawego. Usnuto ją ze starych, zużytych i wypłowiałych frazesów. Większą wagę będą miały obrady Izby, zwłaszcza gdy ona podniesie sprawę znowu skompromitowanej swej marynarki, która utraciła jeden statek zbrojny „Serpent.“

Gwiazda Crispiego jeszcze nie nachyliła się ku zachodowi, przeciwnie, posunęła się wyżej: wybory we Włoszech do Izby poselskiej dały mu większość znacznie większą, niż posiadał, i zakończyły się ciężką porażką opozycji. Zdaje się, że z nową załogą minister zwróci swój ster mocno w kierunku konserwatywnym i zbroczy bardziej z drogi, którą dawniej płynął. Pomimo jednak tego zwycięstwa nie może on jeszcze krzyknąć: hop! bo dopiero stanął nad rowem, ale jeszcze go nie przekroczył. Tym rowem jest dla niego plan poprawy stosunków ekonomicznych kraju. Ułożyć go ze słów i szczodrych obietnic było zadaniem łatwym, ale wykonać bez naruszenia warunków trójprzymierza, zobowiązującego do podpierania „zbrojnego pokoju“, będzie bardzo trudnym. Włochy są krajem niedostatku i nędzy, żaden więc czarodziej nie zdoła zrównoważyć dobrobytu z kosztami militarystyki. Albo jeden, albo drugi — a Crispi powiada, że będą oba. Zobaczymy.

W sejmie pruskim rozpoczęła się walna utarczka stronnictw na gruncie reformy podatkowej. Nowy minister skarbu Miquel broni swoich projektów, dążących do głębszego zapuszczenia pompy w kapitał ruchomy i wydobywania zeń podatku dochodowego. Znajdą się tacy, którzy „krzykną: nie pozwalam! i uciekną — lub nie uciekną — na Pragę“, niewątpliwie jednak skarb państwa nowe źródła zasilków sobie otworzy. Ale co ważniejsza, gazety przebąkują, że rząd niemiecki chowa w zanadrzu jeszcze inne, ważniejsze niespodzianki, które sięgną do kieszeni narodu. Naturalnie będą to nowe ofiary na ołtarz Marsa, który w Niemczech nie jest nigdy nasycony.

Policja wyjaśniła, że zabójcą gen. Selwerstowa jest niejaki Padlewski, który uciekł do Brukseli, a następnie do Anglii. Z jakich pobudek działał, czy zdołał umknąć dalej przed pogonią — nie wiadomo.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

20 listopada.

Zima. — Artyści. — Spermina. — Ospa — Dr. Koch. — Fabrykaty. — Sprawa rektora Notowicza. — Gazeta Minuta.

Śnieg wypadł, mgła znikła i po kilku tygodniach nieobecności zawitało słońce. Smętne lica bojowników o chleb i sukmanę, ubarwione mrozem i promykami, wyglądają rażniej. Pesymistów ubyło 20%, o samobójcach — ani słychu: taki jest wynik dobrej pogody. Kto ma grosze, gwoździ uciesze, najmuje trójkę i pędzi za miasto.

Z czasem łacniej będzie zapełnić zbywające od snu i jadła chwile: troskliwi dobroczyńcy ludzkości zebrali już pieniądze za abonamenty na Patti, Makiniego, Sembrihową, Cotoniego itp. głośnych artystów.

W Akademii sztuk pięknych niegłośni artyści na konkursie dorocznym otrzymali dużych srebrnych medali zaledwie kilka — jest to żniwo, w porównaniu z poprzednimi czasami, gdy otrzymano ich dziesiątkami, nader niepokazne. Może mniej troskliwie pracowano, może sędziowie stali się surowszymi — trudno orzec. Dyletantowi wydaje się, że prace nie są gorsze.

Doktor Pohl w sprawie sperminy Brown Sequarda, nie mogąc znaleźć u sądu, w zatargu z Frenklem, żądanej sprawiedliwości, zdaje się na sąd honorowy medyków. Ze swej strony zaprosił na sędziów znanych doktorów: profesora Tarchanowa i prezesa petersburskiego Towarzystwa lekarskiego Weliaminowa. Jużci najprzejemniej będzie, jeżeli szanowni sędziowie odkryją, że obaj chemicy nie winni, że wszystko to było omyłką, że wielka ilość soli potrzebną jest dla zakonserwowania sperminy. Bo czyż może być coś bardziej tragicznego, nad widok uczonych bawiących się w fabrykaty?

Wolno-Ekonomiczne Towarzystwo walczy z ospą, która korzystając z mglistej jesieni, rozgościła się w stolicy na dobre... Zresztą tymczasem niema zbyt groźnego charakteru, jednak domaga się już środków zapobiegawczych. Owóż wspomniane towarzystwo na swój własny koszt szczepi ospę każdemu, kto się zgłosi, nie pytając nikogo o wiek, środki, jednym słowem jest zupełnym kosmopolitą.

Obłoczone nieco stopki.
Lecz co więcej — w czym niejedną
Słusznie mej ruszałce zgani —
Że koszulka niezbyt cienka,
Niezbędna świeża była na niej,
A najgorsza: że nie nosząc
Rękawiczek, parasolki —
Opaliła twarz i ręce
Ciemne niby u kreolki.

Jednak — wiercie, miłe panie,
Mimo te widoczne braki
Byłem olśniony — taka jasność
Biła od niej — urok taki!
Dziś po latach długich wielu
Ani wiem, ni wytłomaczę,
Jakim czarem mię zakłóło
Proste dziewczę to wieśniacze.

Czy urzekła mię powabem
Swoich wdzięków i urody,
Czy też inną mocą jaką?
Ot, poprostu, byłem młody!..
Byłem młody... Bracia młodził
Póki młodzi — wy nie wiecie,
Co to młodość — aż poznać
Kiedy się zestarzejecie!
Kiedy mrozem i zawieją
Kwiecie waszych serc się zwarzy,

Kiedy zmysły wam stępieją,
Kiedy ułud pierzchnie tęcza.
Zgaśnie blask, spłowieją barwy,
A natomiast rzeczywistość
Stanie naga i bez larwy;
Kiedy łańcuch rozczerowań
Wszelki poryw ducha spęta —
Wtedy z żalem wy poznać,
Czem jest młodość wielka, święta,
Młodość wolna, jasna, dzielna,
Nieskalana jak blask słońca,
Nieobłudna, ślepo-uśna,
Wszechmiłością promieniująca!
Och! poznać, bracia młodzi,
Czem jest wasza młodość złota,
Gdy przeminie — a zostanie
Żal serdeczny i tęsknota...

VI.

Od tej chwili niemal codziennie
Zapuszczałem się tam rzeką,
Tak mi ustron ta łąca,
Tak mi smakowało mleko!
Swe wycieczki sam przed sobą
Tłumaczyłem tym pozorem,
Że zlecenie miałem „z góry“
Poznać się z sąsiednim borem,

Który łączy się z lasami
Tryhór, Denesz, Trojanowa
I gdzie miała niezadługo
Młódz gromadzić się spiskowa.
Studjowałem tedy pilnie
Leśne drogi i drożyny,
Które — dziwna — z każdej strony
Zawsze wiodły do dziewczyny.
I widziałem, że Oksana,
Dawniej jakaś niby dzika,
Coraz bardziej do zaczęstych
Tych odwiedzin już przywyka;
Coraz wita mię przyjaźniej,
Uśmiechnie się i odpowie,
A tak słodko spojrzysz czasem,
Że aż mroczy mi się w głowie!

Tylko rybak wciąż ponury
Nigdy nie obdarzy słowem,
A choć czasem doń przysiadę,
Zbysza mię ni tem, ni owem
I z pod gęstych brwi krzaczastych
Tak spogląda podejrzliwie
I tak jakoś nieprzyjaźnie,
Że i boję się i dziwię.
Więc ażeby z niechętniemi
Nie spotykać się oczyma,
Bywam tam najczęściej wtedy,

Imię doktora Kocha daje temat do pogawędek nie samym tylko medykom. Nawet w przerwach robra nieraz można słyszeć:

— Powiadają, że „Lupus“ zupełnie się uleczają... mają nadzieję i dyfteryt leczyć...

— A tak, moiści dobrodzieju... Dwa bez atul..

Przeciwnik drgnął.

— Wyglądacie tak — zauważyła szyderczo głosiciel gry — że powinniście pojechać do Kocha jak najprędzej. Nim się kawerny wytworzyły w płucach, łatwiej odzyskać zdrowie.

— Pass... mruczy zagadnięty ponuro.

Więść głosi, że się znalazł inny Koch, co ma zamiar uleczyć stolicę od wszelkich fabrykatów. Na samą myśl, że nastanie czas zdrowych pokarmów, człowiek czuje się rzeświej. Chleb, masło, mleko, mąkę, herbatę, kawę — nie mówimy już o piwie, winie i sperminach — wszystko to zabiegliwi ludzie przetworzyli na przedmioty albo licha warte — niepożywne, albo trujące. Choroby żołądka, a z niemi niedokrwistość, spazmy, mdłości, katar, stały się lichem złośliwszem od ospy, a może i od suchot. I wszystko to gwoli zarobkowi kilkusetek starannych przemysłowców! Ma się narzeczcie położyć temu kres.

W przeszłym roku w gazecie *Nowosti* ukazało się kilka artykułów, karcących zarząd banku tulskiego, za działalność niezgodną z ustawą. Członkowie Zarządu powołali redaktora gazety, p. Notowicza, do odpowiedzialności za oszczerstwo. Sąd okręgowy skazał go na cztery miesiące więzy. P. Notowicz przeniósł sprawę do Izby sądowej i tutaj 19 listopada obrońca redaktora, p. Spasowicz, prosił sąd o wyjaśnienie, czy skargę wniósł zarząd banku, czy też prywatne osoby: Pp. Czerkasow, Masłow-ski, Maslennikow i inni. Izba zdecydowała uznać owych panów za przedstawicieli banku; natenczas owi członkowie oświadczyli, że nie mając pełnomocnictwa, nie mogą podtrzymywać wniosku. Skutkiem tego sprawę sądzono tak, jak gdyby powodowie nie byli obecnymi.

P. Notowicza uniewinniono... Obecna w sali publiczność powitała wyrok rzesistymi oklaskami.

Ozasopismo *Minuta* zmienia nazwę, a zapewne i barwę. Odtąd będzie nosiła tytuł: *Russkaja Żyźń* (Ruskie życie).

Chciałbym zakończyć moje wieści czemś wesołym, jasnym jak promyki skrzące się

na śniegu, lecz promyki już znikły, a śnieg pod stopami ludzkimi zbrukał się.

N. B.

KAROL MARX

(w życiu prywatnem).

Paweł Lafargue, zięć K. Marxa i jeden z najwybitniejszych publicystów obozu społeczno-demokratycznego Francji, skreślił świeżo w pewnym tygodniku niemieckim sylwetkę autora *Kapitału*. Wspomnienie to przedstawia Marxa w życiu prywatnem i zawiera ciekawe szczegóły.

Lafargue poznał go, mając lat 24. Autor *Kapitału* pracował wtedy nad wykończeniem pierwszego tomu swego dzieła. Cierpiący już obawiał się, że nie doprowadzi do końca zamierzonej pracy, chętnie więc otaczał się młodzieżą, mawiając, że należy mu wyrobić sobie następców. Zresztą był to nie tylko uczony, ale zarazem i jeden z najwybitniejszych działaczy praktyczno-społecznych. Twierdził on, że wiedzę należy pielęgnować starannie i nie bacząc na to, do jakich możliwych wyników ona doprowadzi, lecz przytem sądził, że uczony, nigdy nie powinien zagrzebywać się w swojej pracowni i odsuwać od życia publicznego, jeśli nie chce poniżyć swej ludzkiej godności. „Wiedza nie powinna służyć tylko za samolubną rozrywkę. Ci szczęśliwcy, którzy znaleźli się w możności uprawiania nauki, powinni pierwsi pośpieszyć z oddaniem swej wiedzy na potrzeby ludzkości.“ Chociaż głęboko odczuwał niedolę tłumów pracujących, doszedł do swoich przekonań nie pod wpływem jakiegoś uczucia sentymentalnego, ale wskutek studyów nad historią i ekonomią polityczną. Utrzymywał nawet, że każdy umysł bezstronny, byleby interesy prywatne i uprzedzenia klasowe nie opłatały go swoją pajęczyną, musiałby dojść do tych samych wyników. Zresztą prace, które ukazały się jako owoc tych poszukiwań, były pisane już ze stanowczym zamiarem dania naukowej podstawy rozwijającym się dążnościom społecznym i poprowadzenia ich do zwycięstwa. Jako działacz praktyczny, autor *Kapitału* nie ograniczył się do swego kraju rodzimego. „Jestem obywatelem świata — mówił — i działam w tem miejscu, gdzie się znajduję.“ Rzeczywiście, postępował zgodnie z przekonaniem.

Lafargue zatrzymuje się dłużej nad pracownią Marxa. Pokój to historycznej sławy, który oglądał całe tłumy ludzi. Nieporządek panował w papierach, lecz tylko pozorny. Właściciel wiedział, gdzie leży każda notatka i najmniejszy świstek. Na półkach książki in folio i w ośmce, broszury drobne i papiery były pomieszczone bez względu na format, lecz według treści. Wszystko świadczyło, że nie leżą one u niego jako przedmioty zabawki, lecz są narzędziami pracy. „Książki są moimi niewolnikami i winny służyć, jak im każę!“ Nadużywał też ich w najgorszy sposób: zaginał rogi, podkreślał i zakreślał, robił dopiski. Sposób podkreślania pozwalał mu w każdej chwili znaleźć pożądane miejsce u autora. Zresztą od czasu do czasu przeglądał swoje notatki i podkreślał miejsca, aby je wskrzesić w pamięci, która i bez tego służyła mu przewybornie i którą ćwiczył od młodości według rady Hegla, ucząc się utworów poetycznych w nieznanym języku. Heinego i Goethego, których często przytaczał w rozmowie, umiał na pamięć. Wciąż czytał poetów z najrozmaitszych narodowości, Eschylosa zaś corocznie w greckim oryginale; na równi z Shakespearem uważał on go za najpotężniejszego geniusza sztuki dramatycznej. Podobnie studyował z całym przejęciem Shakespear'a i znał najmniejsze postacie jego utworów. W rodzinie uprawiano nawet istotny kult dramaturga angielskiego i umiano go prawie całego na pamięć. Z innych poetów cenił on wysoko Burnsa i Dantego. Zmęczony pracą, chodził po pokoju, i na dywanie od drzwi do okna widać było wydeptaną ścieżkę. Niekiedy rzucał się na sofę i brał się do czytania powieści, a czytał odrazu dwie lub trzy, zmieniając kolejno. Równie jak Darwin lubił niezmiernie powieści, zwłaszcza autorów przeszłego stulecia. *Tom Jones* Fiel-dinga był jego książką ulubioną. Z nowszych autorów chętnie czytał Pawła Kocka, Karola Levera, Al. Dumasa (ojca) i Waltera Scotta. Szczególnie ukochał humorystykę i pomysły fantastyczne. Wyżej niż innych stawiał Cervantesa i Balzaca. Don Kiszota uważał za epopeję wymierającego rycerstwa, którego zalety i cnoty stawały się wśród powstającego świata mieszczańskiego słabościami i śmiesznością. O *Komedii ludzkiej* Balzaca zamierzał pisać szkic wyczerpujący, kiedy ukończy swoją pracę ekonomiczną. Powieściopisarz francuski jego zdaniem był nie tylko przewybornym

Kiedy chłopca w domu niema.
Wtedy śmielszy do załotów
(Zawsze mimo to zdaleka)
Tem sentyment mój wyrażał,
Żem wypijał więcej mleka
I że byłem rozmówniejszy,
Dowcipkując z werwą całą
Z czego, pełne zaufania,
Dziewczę się serdecznie śmiało.

VII.

Po dniach kilku, przy rozmowie
Nagle przyszła mi chęć pusta:
Żem się porwał i Oksanę
Pocałował w same usta.
Snać ten całus obcesowy
Całkiem spadł niespodziewanie,
Takie było w jej twarzyczce
I zdumienie i mieszanie!
Patrząc na mnie napół z trwogą,
Swe usteczka rozchyliła
I w tem niemem osłupieniu,
Bożel taka była miła,
Taka słiczna była ona,
Że porwany jakimś szalem,
Znów w te usta rozchylone
Raz po razie całowałem,

Aż wyrwawszy się z uścisków,
Jak sarenka — w oka mgnieniu
Odskoczyła — i ujrzałem
Ją stojącą na kamieniu,
Co w pobliżu stał najwyższy
Z pośród swoich towarzyszy.
Jak niekiedy ptak płochliwy
Przed przechodniem frunie z trawy
Na sąsiednią gałąź drzewa
I spogląda w dół, ciekawy,
Z tej placówki swej wysokiej
Napastnika śledząc kroki.

Na tym swoim piedestale
Sania stała jak posązek;
Wiatr powiewał jej koszulką
I końcami barwnych wstążek.
W oczach miała pełno strachu,
Twarz to blada, to ognista,
A na łonie jej gwałtownie
Kołysały się *namista*. *)

Wyciągnąłem ku niej rękę
I w namiętnej obłąkaniu
Zawołałem błagająco:
— Saniu moją drogą Saniu!
Czyż się lękasz, że ode mnie
Tak uciekasz jak od zbója?

*) Paciorki.

Czym ci wstrętny?.. Ja tak kocham,
Tak cię kocham, Saniu moją!
O, zejść do mnie — a przysięgam,
Że nic złego ci nie zrobię,
Raz cię jeszcze pocałuję,
Tylko raz... i pójdę sobie...

Ale Sania była głucha;
Na wysokim stojąc głazie,
Jak głaz niema, ciąglą trwożę
Miała w twarzy swej wyrazie
I patrzyła na mnie jakoś
Napół z żalem, napół czule
Przytrzymując odchyloną
Wiatrem z piersi swych koszulę.
Wtem plusk wody niewyraźny
Posłyszałem... ktoś nadchodzi —
Odwrociłem się ku rzece,
— To nadpływa rybak w łodzi,
Więc stropiony, odskoczyłem
Od dziewczęcia do swej łódki
I uciekłem.

Takie były
Pierwszych mych załotów skutki.

(D. c. n.)

historykiem swojego czasu, ale twórcą pro-
roczek postaci, które za Ludwika Filipa
znajdowały się jeszcze w stanie zarodko-
wym i dojrzały w zupełności po śmierci
Balzaca, za Napoleona III. Zresztą prócz
poezyi i powieści Marx wypoczywał jeszcze
w inny sposób: brał się do studyów nad
matematyką, i to zajęcie dawało mu ucie-
czkę w ciężkich chwilach życia. Podczas
ostatniej choroby żony rzucił wszelką sa-
modzielną pracę umysłową i naukową; cier-
pienia chorej odczuwał w silnym stopniu,
jedynie matematyka pozostała dlań źród-
łem wypoczynku i zapomnienia. W tym
okresie napisał nawet rzecz o rachunku,
opartym na wielkościach nieskończenie ma-
łych, a wartość tej rozprawy jest podobno
nader znaczną, jak osądzili matematycy,
którzy ją czytali. Zresztą wyjdzie ona
w zbiorowym wydaniu prac zmarłego. Marx
czytał we wszystkich językach europej-
skich i pisał w trzech: po francusku, angiels-
ku i niemiecku. Mawiał, że „obca mowa
jest to oręż w walce życiowej.“ Posiadał
zaś znaczne zdolności w tej mierze. Już ma-
jąc lat 50, zaczął się uczyć języka po rosyj-
sku, a chociaż mowa ta nie była w bliż-
szym pokrewieństwie z jakimkolwiek ze
znanych mu przedtem języków, wyuczył się
jej w pół roku i zabrał się do czytania au-
torów ruskich, z których szczególnie cenił
Puszkina, Gogola i Szchedryna. Zresztą
w tym razie szło mu o zdobycie środka do
poznania urzędowych sprawozdań ziem-
skich o stanie ekonomicznym kraju. Podo-
bnie i w innych dziedzinach wiedzy posia-
dał szerokie wiadomości.

Kładł się bardzo późno, lecz już o ósmej,
najdalej dziesiątej rano był na nogach,
wypijał czarną kawę, przeglądał gazety
i udawał się do swojej pracowni, w której
przesiadywał do drugiej i trzeciej w nocy.
Robotę przerywał tylko podczas posiłku
i niekiedy wieczorem, jeśli pogoda sprzy-
jała przechadzce. Dniem spał godzinę lub
dwie. W wieku młodym przesadywał nad
pracą całe noce. Robotą stała się namie-
tnością, tak, iż zapominał o jedzeniu i ucie-
kał od stołu natychmiast po ostatniem da-
niu. Zresztą jadł mało i brak apetytu zwal-
czać musiał ostreimi przyprawami. Nad-
mierna praca umysłowa była powodem ta-
kiego stanu, w którym cały organizm po-
święcono w ofierze mózgowi: myślenie stało
się najwyższą rozkoszą. Palil namiętnie.
„*Kapitał* nigdy nie wróci mi tych wydat-
ków, jakie przy pisaniu go poniosłem na cy-
gara.“ Zaiste, organizm musiał być silnie
zbudowany, inaczej nie wytrzymałby takie-
go trybu życia i nie zniosłby tak wycieńcza-
jącej pracy. Zresztą Marx zgoła nie dbał
o swoje zdrowie i spacer był jedynem ćwic-
zeniem ciała. Całemi godzinami, rozmawia-
jąc i paląc, mógł chodzić bez najmniejs-
zego zmęczenia. Można nawet powiedzieć,
że w pracowni swojej pracował chodząc,
siadał bowiem tylko na chwilę, aby prze-
nieść na papier myśli swoje i wstawał zno-
wu, aby snuć je dalej. Podczas spacerów,
kiedy rozmowa ożywała się i potraçała
o coś ważnego, stawał. „Przez lat kilka to-
warzyrzyłem mu — opowiada Lafargue —
wieczorem w jego przechadzkach do Hamp-
stead Heath. W tych spacerach po łące
otrzymałem odeń moje wykształcenie ekono-
miczne. Bezwiednie rozwijał przede mną
całą treść pierwszego tomu *Kapitału* w mia-
rę jak go pisał. Po powrocie do domu za-
pisywałem, com słyszał, chociaż początko-
wo z trudnością zdołałem podążyć za zawi-
kłym biegiem jego myśli. Niestety, straci-
łem te cenne notatki, które zrabowano
i spalono podczas wypadków 1871 r. Zwła-
szcza żał mi notatek zrobionych tego wie-
czoru, kiedy Marx z właściwą mu obfito-
ścią faktów i pomysłów rozwijał swoją ge-
nialną teorię o rozwoju społeczeństwa
ludzkiego. Jakby zdarto z oczu moich zas-
łone. Po raz pierwszy jasno zrozumiałem
logikę dziejów. Zostałem oszołomiony i ca-
łe lata zostawałem pod wrażeniem rozmo-

wy. Teoria ta oddziaływała podobnie, kiedy
wypadło mi rozwijać ją w Madrycie przed
hiszpańskimi współtowarzyszami i współ-
wyznawcami.“

Umysł Marxa był uzbrojony nieprawdo-
podobnym mnóstwem faktów z dziedziny
historii, nauk przyrodniczych oraz filozofii,
lecz wszystko było należycie uporządkowa-
ne, a on umiał przewybornie posługiwać się
nagromadzonym materiałem. Mózg jego
był jak okręt wojenny, stojący w porcie
z gotową parą i mógł w każdej chwili wy-
ruszyć w tym lub innym kierunku. *Kapitał*
świadczy o potężnej sile umysłowej i rozle-
głej wiedzy, lecz ani to, ani też żadne inne
dzieło zmarłego nie daje jeszcze dokładne-
go wyobrażenia o uzdolnieniach autora.
Marx dyktował Lafargueowi swoje prace
i ten ostatni z całą słusnością może wydać
wyrok o naturze umysłu, który stworzył
Kapitał. Otóż zdaniem francuskiego publi-
cysty, fakty i pomysły, dotyczące się jakiegoś
zjawiska, odrazu występowały w wyobraź-
ni Marxa, lecz sama ta obfitość czyniła
dlań wykład rzeczą nader trudną i mozol-
ną. Badając jakie zjawisko, rozkładał je
na części, w takim wyodrębnieniu rozpa-
trywał każdą aż do ostatecznych granic
w jej przekształceniach, ewolucjach i prze-
wrotach i dopiero na tej szczegółowej ana-
lizie odnajdywał wzajemny związek i od-
działywanie pomiędzy niemi. Zamiast po-
jedynczych rzeczy, samych w sobie i bez
łączenia z otoczeniem, miał on wciąż przed
oczami cały świat w jego złożonym a zawi-
kłym biegu i chciał oddać go w takim
wzajemnem poplątaniu i oddziaływaniu.
To też nigdy nie był zadowolony z wyni-
ków swojej pracy i wciąż zmieniał coś
i znajdował, że jego przedstawienie rzeczy
oddaje wadliwie rzeczywistość. Studium
psychologiczne Balzaka *Le chef de l'oeuvre
inconnu*, tak bezwstydnie okradzione przez
Zolę, wywarło nań silne wrażenie, znalazł
bowiem tutaj opis własnych stanów we-
wnętrznych. Genialny malarz dręczy się
wciąż niepodobieństwem odmalowania rze-
czy tak, jak mu się one przedstawiają w u-
myśle, więc nakłada coraz nowe barwy,
a kiedy obraz stał się jedynie pstrokacizną,
wtedy dopiero artysta doznął zaspokojenia.
Wciąż trzymał się gruntu realnego. Ekono-
miści, niezdolni do samodzielnego myśle-
nia, zarzucają mu abstrakcyjność, tymcza-
sem on nigdy nie postępował na wzór geo-
metry, który wzięwszy określenia z otacza-
jącej go rzeczywistości, wyciąga dalej wnio-
ski, nie troszcząc się o nią. Nadaremnie
w *Kapitale* poszukiwalibyśmy definicyj lub
formulek, mamy tutaj jedynie do czynienia
z analizą. Autor naprzód stwierdza fakt na-
macalny, że bogactwo kapitalistyczne skła-
da się z towarów, później bierze tę rzecz
zmysłową, ten towar, obraca go i rozpatru-
je ze wszystkich stron, wyrwa jedną po
drugiej tajemnicę jego bytu. Zbadawszy to-
war wzięty odrębnie, analizuje stosunek
jego do innych — wymianę. Potem zajmu-
je się rozbiorem rodowodów towaru. Lecz
wszystko to jest tylko oddaniem istotnej
dyalektyki towaru. Zresztą Marx pracował
nad wszelki wyraz sumiennie. Najmniejszy
fakt lub datę czerpał ze źródeł najwiaro-
godniejszych. Nie brał z drugiej ręki, lecz
wciąż docierał do samego źródła bez wzglę-
du na uciążliwość takiego postępowania.
To też krytycy nie zdolali dotychczas wy-
kazać, że w swych wnioskach oparł się kie-
dykolwiek na podejrzanych lub niewiaro-
godnych faktach. Z tego powodu wypadało
mu czytać autorów zupełnie nieznanych,
jak to można spostrzedz z cytów w *Kapitale*.
Zarzucono mu popisywanie się erudycją,
ale istotny powód był inny. „Wymierzam
sprawiedliwość dziejom, każdemu oddaję
myśl jego.“ Podobnie i w pracach litera-
ckich nie powoływał się nigdy na fakt, któ-
rego nie zgłębił dostatecznie. Był nawet
tak drażliwy, iż twierdził, że prędzej spa-
liłby swoje rękopisy, niż miałby zostawić
nieukończoność. Aby napisać 20 stron

z *Kapitału* o prawodawstwie fabrycznem,
przestudował całą bibliotekę z *Książek bę-
kitnych*, które zawierały sprawozdania ko-
misyj i inspektorów fabrycznych...

Studium Lafarguea jest nieukończoność.
Być może, powrócimy do niego, kiedy uka-
że się reszta.

R. K.

BADANIA NAUKOWE. Z DZIEJÓW FEODALIZMU.

Początki feudalizmu.—Teoria Fustel de Coulanges'a.—
Ostatnie jego dzieło: Histoire des institutions politiques
de l'ancienne France. L'Alieu et le domaine rural.
Paryż 1890.

Pojęcia, mające powszechny obieg co do
początków feudalizmu, można zsumować
w sposób następujący: gallowie byli przed
najściem rzymian narodem zupełnie wol-
nym. Uciemieżyli ich dopiero cesarze rzym-
scy. Gdy później germanowie przekroczyli
Ren, aby zniszczyć despotyzm tych osta-
tnich, nieszczęśliwi gallowie ulegli nowej ty-
raniu, tyranii barbarzyńskich najezdów, któ-
ra trwała dziesięć wieków pod nazwą feo-
dalizmu. Zauważmy, iż barbarzyństwo ów-
czesnych germanów nie przeszkadzało, zda-
niem powszechnem, aby wśród nich pano-
wały „wolność, równość i niezależność;“
było ono zarazem w zupełnej zgodzie z po-
dojem innych narodów.

Romans ten historyczny stworzony zo-
stał przez Montesquieu'go i nosi na sobie
wszystkie cechy idealizmu myślicieli XVIII
stulecia, a głównie Rousseau'a, który sie-
lanek powszechnego szczęścia chętnie umie-
szczał w nieokreślonych mgłach przeszło-
ści. Fantastyczna ta mara coraz bardziej
pierzcha pod ciosami faktycznej krytyki.
Nie ulega wątpliwości, iż raj swobody pa-
nował niegdyś i wśród gallów i wśród germa-
nów, chociaż barwy, jakimi go malowali
idealiści, były zupełnie fałszywe, ale raj
ten był już oddawna stracony przez pier-
wszych za czasów rzymskiego podboju,
a przez drugich — za czasów przekroczenia
Renu. Dalej „podbój“ gallów przez germa-
nów nie posiada bynajmniej tego charakte-
ru, jaki mu bujna fantazyja Montesquieu'go
nadała i nareszcie feudalizm z „podbojem“
tym nie wspólnego niema.

Oto punkty, które Fustel de Coulanges
niezbicie uzasadnił w znakomitem dziele,
noszącem tytuł „Les institutions de l'an-
cienne France,“ którego autor nie zdążył,
niestety, ukończyć przed śmiercią. W pier-
wszym tomie tej pracy *) okazuje on, iż
u gallów przed najściem rzymian, a u ger-
manów w pierwszym wieku po Chr. „swoboda“
wyrażała się w braku wszelkiej wła-
dzy centralnej; rządy były republikańsko-
arystokratyczne; jedność narodowej ani
ślądu. Jeżeli władzy centralnej jeszcze nie
było, to natomiast władza miejscowych pa-
nów wyrażała się w najrozmaitszych for-
mach niewoli. Dawny ustrój rodowy przed-
stawiał już zupełną ruinę, nie wyłonił
z siebie jeszcze nic trwałego. Zetknięcie się
więc z Rzymem było i dla gallów i dla ger-
manów dobrodziejstwem, dawało im bo-
wiem gotową, bogatą cywilizację, którą sa-
mi mogliby wypracować dopiero w dro-
dze długoletniej pracy, nie zabiło natomiast
wrzekomych ich swobód, gdyż ich nie było.
„Podbój“ państwa rzymskiego przez ger-
manów przedstawiany zwykle bywa w świe-
tle fałszywym; nie narzucali bowiem Rzy-
mowi swej władzy, przeciwnie, wchodzili
w gotową jego organizację, czy to osiada-
jąc jako rolnicy, rzemieślnicy, kolonowie,
czy też wstępując do służby wojskowej.

*) La Monarchie franque. Paryż I-e wyd. w r. 1875.

LISTY WIEDŃSKIE.

Krucjata duchowieństwa przeciw „Czwartemu przykazaniu” Anzengruber. — Wykład dr. Rafała Löwenfelda o Leonie Tolstoju.

Powodzenie, jakie partya ultramontańska odniosła przy ostatnich wyborach do sejmiku austriackiego, podnieca wojowniczość kleru, który dawnym zwyczajem zaczyna rzucać się obecnie na wszystko, co mu nie dogadza. Od lat dwudziestu nie pamiętamy w Wiedniu, aby księża występowali przeciw utworom literatury; dziś z ambony je krytykują. Wiadomo czytelnikom *Prawdy*, z jak niezwykle powodzeniem wystawiono tu sztukę Anzengruber p. t. „Czwarte przykazanie.” Za przykładem Wiednia poszły sceny prowincjonalne, a wszędzie utwór największego niemieckiego poety ludowego potężnie czynił wrażenie na słuchaczach. Duchowieństwo, zgorzzone nową, rozumną etyką sztuki Anzengruberowskiej, padło istotną krucyatą przeciw „Czwartemu przykazaniu.” Zabawnie odbywała się rzecz ta na prowincyi, gdzie wskutek kazań wygłoszonych przez księży przeciw tej sztuce, teatry bywały przepelnione, gdyż nawet wiejska ludność okoliczna cisnęła się na przedstawienia. Lecz ku niemałemu zdumieniu liberalnych wiedeńczyków, nawet z ambony katedry św. Szczepana odezwał się głos przeciw owemu dramatowi. „Obawiałbym się — mówił kaznodzieja Michele — ażebyście wszyscy z kościoła nie wybiegli, gdybym chciał tu opowiedzieć choćby część tego, co się w sztuce dzieje; skalałbym święte to miejsce, gdybym ustępy z niej przytoczył.” Charakterystycznym było w przemówieniu kaznodziei, że bynajmniej nie starał się o nagięcie dogmatu kościelnego do poglądów i doświadczeń dzisiejszych; owszem, z zaciekleścią nietolerancyi średniowiecznej bronił przepisów kościelnych w dosłownym ich brzmieniu, twierdząc, że nawet wobec najnikczemniejszego ojca syn nie powinien zachowywać się tak, jak Marcin wobec starożytnego Szalantara. Ks. Michele zakończył kazanie swe następującymi słowami: „Protestujemy przeciw religijnemu tytułowi, jakiego użył Anzengruber. Protestujemy, aby nie zastosowano do nas słów Izajasza, żeśmy psami nieczystymi, którzy mileją tam, gdzie szczekać powinni.”

„Verein der Literaturfreunde” (Towarzystwo przyjaciół literatury) urządza corocznie szereg wykładów, zapraszając wybitniejszych literatów wiedeńskich i berlińskich do wygłoszenia krótszych prac swoich. Świeżo dr. Rafał Löwenfeld, którego imię znane jest publiczności warszawskiej, przybył do Wiednia z odczytem o Leonie Tolstoju. Od lat kilku zajmuje on się piśmami tego autora, wydał obecnie niemieckie tłumaczenie ostatniego jego dzieła (Kreutzer-Sonata), a pragnąc poznać osobie tego niepospolitego człowieka, wybrał się z odwiedzinami do Jasnej Polany. To też wykład Löwenfelda był nader zajmującym. Wiadomo, że Tolstoj pierwszą połowę swego życia, w której namiętność i ambicja nim kierowały, uważa za straconą. Tak silnie zaś wierzy w swe odrodzenie moralne, że w toku rozmowy wyraził się: „Przed siedemnastu laty, kiedy się narodziłem...” — „Wszak urodziłeś się pan w r. 1828?” — „To nie było życie!” Wówczas tedy, przed siedemnastu laty Tolstoj podsłuchiwał na rozdrozu jakimś rozmowy wieśniaków pielgrzymujących i wreszcie do nich się przyłączył. Dziś posiadać ma zwolenników na najdalszych kresach Rosyi; pisuje do nich listy językiem ewangelii; listy te rozchodzić się mają w licznych odpisach, sporządzanych przez panie z lepszego towarzy-

Nie zadali też żadnego gwałtu i gallow, osiedli wśród nich najspokojniej, jak i w innych częściach Cesarstwa, nie żywiąc najmniejszej nienawiści względem zwyczajów i urządzeń rzymskich. Gallię Rzym zupełnie zasymilował, gdyż była przez dłuższy czas pod jego wpływem i zrobiłby niewątpliwie toż samo z germanami, gdyby był zdążył, ale, niestety, zginął przedtem przez własne, wewnętrzne dolegliwości. Odbiło to się formalnie w r. 476, gdy Cesarstwo przeniesione zostało do Konstantynopola. Na zachodzie rząd przechodzi do rąk królów barbarzyńskich, którzy biorą w swe ręce spuściznę po cesarzach rzymskich. Aristokracja zachowała dawne swe prawa. Klasy niższe sprowadzone zostały do niewolnictwa, kolonatu, klienteli. Była to ewolucja, a nie rewolucja, jak tego chcą zwykli historycy. Podbój państwa rzymskiego przez germanów odbył się naprzód spokojnie, a dalej nie przedstawia bynajmniej przełomu w porządkach społecznych. W nowym społeczeństwie, które osiadło na ruinach Cesarstwa, widzimy wprawdzie różnice majątku i urodzenia, ale istniały one już dawniej i w świecie rzymskim i w germańskim. Spotkanie się dwóch narodów nie stworzyło nierówności, zachowało je tylko, nie naruszyło także urządzeń politycznych Cesarstwa. Germanowie przyjęli i przechowali jego władzę centralną, jego administrację, jego ustrój finansowy, wojskowy i sądowy. Jeżeli w ten sposób ustrój republikańsko - arystokratyczny ich ustąpił przed królewsko-despotycznym rzymskim, to „wolność” nie na tem nie straciła, ostatnie jej iskierki bowiem dogorywały już wśród barbarzyńców, a bądź co bądź ustrój rzymski pod względem cywilizacyjnym był nieskończenie wyższy. Właściwie mówiąc, germanowie nie podbili ani Rzymu, ani Gallii; osiedli tylko w pierwszym i w drugiej. Feodalizm nie pochodzi więc z najścia barbarzyńców. Osiedlenie się ich w cesarstwie rzymskim nie było gwałtowne i nie spowodowało żadnego przewrotu; nie zniszczyło ono żadnej wolności, gdyż tej nie było ani w Germanii, ani w Gallii, ani w Rzymie.

W ten sposób romans, wysnuty przez Mablego, Montesquieu’go i in., opierający się na „chęci łażenia na czworakach,” którą tak sobie upodobał filozofowie XVIII stul., rozlatuje się pod ciosami krytyki F. de Coulanges’a.

Odrzucając w ten sposób pochodzenie germańskie feudalizmu, autor nie zgadza się, aby podstawy tej instytucji leżały w społeczeństwie rzymskim, jak tego chcą inni. Jest to ustrój, który znajdujemy u wszystkich ras i społeczeństw, rozwijający się, jak każdy proces naturalny, nieznacznie, tak, że współczesni spostrzegają go dopiero wówczas, gdy już jest w pełnym rozkwicie *). Dlatego też nie sposób określić daty, kiedy ludność Gallii przeszła od ustroju monarchicznego do feudalizmu. Jest to proces nader złożony, zależący od wielu przyczyn, które działały w okresie pomiędzy V i X stuleciem. Autor postawił sobie więc na celu zbadanie stosunków politycznych, ekonomicznych i prawnych monarchii Merowingów (V—VII st.) i Karlovingów (VII—X st.). Dotychczas mamy dopiero dwa tomy, dotyczące pierwszej epoki.

Gdy feudalizm występuje przed nami zupełnie zakończonym w X w., ustrój jego polityczny odznacza się, jak wiadomo, podziałem kraju na mnóstwo niezależnych prawie państewek, w których rządzi, sądzi, zbiera podatki i organizuje siłę wojskową baron, bez wszelkiej prawie interwencji ze strony króla. Otóż F. de Coulanges pokazuje nam w pierwszym tomie swego dzieła (*La Monarchie franque*), jak zaznaczyliśmy, zupełnie odmienne stosunki; monarchię absolutną,

wzorowaną podług władzy rzymskich cesarzów, która jest jedynym źródłem prawodawstwa, administracji i wojska. Nie tutaj więc trzeba szukać początków feudalizmu. Taką samą, przeczącą odpowiedź znajdujemy i w drugim tomie „Instytucji Francji starożytnej,” który niedawno wyszedł pod tytułem „L’allen et le domaine rural pendant l’époque merovingienne” i rozbiera stosunki ekonomiczne, tj. rolnicze, w okresie od IV do IX stulecia. „Pierwszą rzeczą, która nas tu uderza — powiada autor *) — jest trwałość faktów i zwyczajów. Jakiemi posiadłościami były w IV w., takimi pozostały w IX. Mają też samą rozległość, też same granice... Dzielą się zwykle na dwie części, jak i dawniej. Posiadacz jest właścicielem na zasadzie prawa własności, które pozostało niezmiennem. Ludzie którzy uprawiają ziemię, pozostali, jak i dawniej, niewolnikami, wyzwoleńcami lub kolonami. Zamiana niewolnictwa na kolonat trwa w dalszym ciągu...” Najście barbarzyńców nie zmieniło w dawnych gallo-rzymskich stosunkach ani joty. Mniemano, iż *allodium* (allen) było instytucją wprowadzoną przez franków. Miały to być ziemie zabrane mieszkańcom, które zdobywcy dzielili między siebie podług losu. Otóż F. de C. wykazuje (IV str. 149—171), iż ziemi germanowie nigdy u gallów nie zabierali i że *allodium* oznacza ziemie dziedziczne, które istniały już w epoce gallo-rzymskiej. „Ziemie te utworzyły się zdawien dawna naturalną siłą rzeczy. I niema najmniejszego dowodu, aby ustrój ten był kiedykolwiek zgwałcony lub naruszony **). Ze wszystkiego tego autor wyprowadza wniosek, iż cały ustrój ziemski feudalizmu, jak go znajdujemy w X w. zupełnie wykończonym, niema właściwie nic wspólnego z feudalizmem. Wszystkierodzaje ziemi, sposoby jej władania i uprawy, daniny, służby i pańszczyzny — wszystko to powstało daleko wcześniej od feudalizmu. „Wszystko to istnieć będzie wśród tego ustroju, ale nie stanowi jego istoty... Są to tylko odwieczne fundamenty, na których wzniesie się gmach feudalizmu.”

Następnie F. de Coulanges przechodzi do rozpatrzenia stosunków prawnych w tomie, który wydawcy obiecują wkrótce ogłosić p. t. „Le Bénéfice.” *Bénéfice* nie jest to rodzaj ziemi, jak mylnie sądzono, lecz „operacja prawna pomiędzy osobami, oparta na ziemi” — mówi F. de C. w ostatnim tomie. W pracy o „Immunité merovingienne” pokazuje on nam inną operację prawną, opartą na kwestyach rządu. To to właśnie stosunki prawne, wywołane przez nowe zupełnie warunki społeczne VI i VII stul., wytworzyły powoli ustrój feudalny. Nie pochodzi więc on ani z Germanii, ani z Rzymu, lecz z potrzeb życia społecznego nowej tej epoki.

Widzimy więc, iż feudalizm nie był, zdaniem F. de C., ani wytworem urządzeń politycznych — monarchii i jej dekrétów, lub arystokracji, jej walk i zwycięstw — ani wytworem nowych urządzeń ekonomicznych — germanowie mieli wrzekomu wprowadzić do Gallii zupełnie nowy ustrój rolny. Wytworzył się on natomiast drogą kontraktów prawnych, zawieranych przez oddzielne osoby odpowiednio do ich interesów prywatnych. Przedstawiano go dotychczas jako ustrój, wprowadzony doraźnie i w sposób gwałtowny, F. de C. uważa go za skutek długiej i powolnej ewolucji. Głębsze rozpatrzenie istoty tego ustroju znajdziemy w następnych tomach dzieła, które pozostało w rękopisie. Uczniowie mistrza przygotowują je do druku.

*) Str. 462—463.

**) Str. 463.

L. W.

*) Myśl tę autor wyraża w „Recherches sur quelques problèmes de l’histoire” Paryż 1885.

stwa ruskiego, utrzymujące się tą pracą. Komentarz Tolstoja do ewangelii kosztować ma 60 rubli, każdy list 3 rs. Literatura zagraniczna mało obecnie go zajmuje; Goethe w oczach jego nie jest wielkim poetą, gdyż pierwiastek estetyczny, nie zaś etyczny, jest osiłą jego utworów. Pokój, w którym Tolstoj dziś pracuje, przypomina izdebkę studencką; jedyną jego ozdobą jest portret Artura Schopenhauera, zaopatrzony w autograf filozofa. Löwenfeld opowiada, że kilku magnatów ruskich zakupiło obecnie rozległe obszary, na których powstają gminy chrześcijańskie w duchu Tolstoja. Sam on przy pomocy pewnego Niemca założył w okolicy swej trzynaście szkół, z których część już zamknięto; reszta słabo się rozwija.

Stwosz.

ŚRÓD MUZ.

IX.

Drużyna Apellesa zaczyna się bawić w mistyfikację. Niżej podpisany omal że nie padł ofiarą jednej z nich, szczęściem ocalił go niezbyt krótki wzrok.

Rzecz się tak miała. Wpadam do środkowego z trzech salonów Towarzystwa zachęty i ku wielkiemu zdziwieniu spostrzegam w dwu przeciwnych sobie kątach wielkie płótna Chełmońskiego. Azem zdumiał, skąd ten człowiek bierze tyle czasu? W duszy zaświtała nawet pewna radość z powodu, że wygłoszona kiedyś na tych samych łamach teoria, iż artysta ten zbyt wiele i szybko tworzy — znalazła świeże potwierdzenie. Duma literacka wzbijała się już w górę... tem bardziej, że żadna z wielkich owych płacht, niezem istotnem w treści swej nie różni się od poprzednich. Na jednej droga polska, ciągnąca się prościutko między obszarami łąk i mokradła i rowami zapełnionymi wodą, jak gdyby po niedawnym świętojańskim dżdżu. Śród traw pełno kwiateczków żółtych, rumianku, cykoryi, słowem zwykła botanika Chełmońskiego; a co najważniejsza, ten sam efekt wielkiej, nieskończonej łąki, że z piersi głos sam się wyrzywa, by zanucić tęskną dumkę. Wstęgi wody niebieszczonej się śród bujnej trawy, mają też zwykły u niego nastrój zlekka melancholijny i, przezrocze odbijają w sobie obłoki.

Drugie płótno różni się od pierwszego tem, że jest znajome ale nieładne i robi wprost wrażenie gorszej edycji tego z utworów nagrodzonego w Paryżu pędzla, który miał przywilej jednania szczególnych względów publiczności, a mianowicie owej szeroko rozlanej wody, której przejrzysty i dziwnie zadumany błękit pokrywały szerokie, okrągłe liście tak zwanej lilii wodnej. Motyw zupełnie ten sam, ale najwidoczniej zepsuty i traktowany tak, jak gdyby artysta przeszedł ciężką chorobę mózgową i często mechanicznie wygrywał te tony, które dawniej dźwięczały prawdą, uczuciem i poezją, rzekłbyś, że do *Switezianek* domalowaną, ale bardziej męczącą. Przytem niebo, choć ciemno lazurowe i prawie włoskie, jest matowe i ciężkie, woda nasycona farbą, również matowa, twarda i niezem świetnej techniki Chełmońskiego nie przypomina. A już liście nawodne są całkiem niemożliwe. Jest ich, co prawda, pod dostatkim, ale to powiększa tylko liczbę artystycznych kłamstw, albowiem każdy z nich jest upostaciowaniem fałszu. Przedewszystkiem — nie leżą one na wodzie, rozłożone własną swą miękkością i prawem poziomu, lecz są kiepsko do powierzchni stawu przyfastrygowane, każdy w inny sposób. Autor prześlepił najwidoczniej jedną małą okoliczność, że wszystkie tego rodzaju liście są ściśle jednakowego kształtu i tylko wielkością się różnią, że linie, jakie wyobrażają na płaszczyźnie, są do siebie podobne

jak figury geometryczne, że jeśli który z nich rąbkiem nadwidłym lub nadeschłym odstaje od szyby — to tworzy się w tem miejscu kontur ciemny, grubszy, wyrazisty i żółtawy.

W górze płótna białe, postrzępione obłoki — zwierciadło na ziemi powtarza ich rysy awanturnicze w ten sposób, że najpierw nie robi żadnego złudzenia, a powtórnie mać zupełnie spokój wody, wprowadzając szorstki zamęt między sterzące łodygi trzciny i zielone plastry lilii. Całość więc zamiast techną ciszą i snem natury, wpatrzonej w siebie, krzyczy: gwałt!

Setka innych błędów razi krajobraz i wprost dręczy umysł, w którym podobne motywy raz na zawsze zrosły się z nazwiskiem Chełmońskiego. A więc — *sic transit gloria mundi*... Miałby to już być początek końca?

Zaczyna się skrupulatne oglądanie malowidła z blizka. Zdziwienie wzrasta i gotowe w gniew i złość się zamienić, gdy wtem wzrok pada na umieszczony w rogu, starannie czarnymi zgłoskami wycackany, wymusztrowany jak do marszu, podpis: Eugeniusz Dąbrowski. *Tableau!*

Na drugim płótnie to samo, jota w jotę. Odetchnąłem.

Szanowny artysto, będący zdaje się nowicuszem! Jakiegokolwiek są twoje zdolności i zamiary na przyszłość, pozwól sobie powiedzieć, że widz najpoważniej nawet usposobiony, dostrzegłszy ów gromki, z wolowych liter ustawiony podpis na obrazie, w którym tylko pędzel jest twoim własnym, a wszystko inne... pożyczonem — musi się wyśmiać w kulak. I nie byłoby w tem nic nienaturalnego, owszem, byłoby całkiem wytłomaczonem, gdyby ktoś z żywym temperamentem, podszedłszy czujność dozorców Salonu, dopisał na jednym z owych przyszytych liści stosowny komentarz, lub gdyby np. komornik kładąc areszt na dziełach Chełmońskiego, czego mu, uchwyciwszy Boże, nie życzyć, wciągnął do inwentarza i te oto dwa wielkie pejzaże. Miałby zupełną słuszość.

Dawniej istniał chwalebny zwyczaj, że ktoś kopiujący znakomity obraz albo własną swoją wielkość chował pod korzec, albo nadmieniał wprost, w jakim stosunku robota jego pozostaje do oryginału. Ale niestety, dziś są czasy — „buchania.“

W wypadku bieżącym wprost nie chce się wierzyć oczom własnym i człowiek przywołuje na pomoc domysł, że p. Dąbrowski jest młodym bardzo uczniem Chełmońskiego, ośmielonym przez pobłażliwość mistrza do odegrania w malarstwie roli „cudownego Józia.“ Jeżeli przypuszczenie to jest mylne, tedy debiuty, o których mowa, nazwać można z czystym sumieniem — plagiatami.

Jeden z nich, mianowicie przedstawiający drogę w chwili wschodu słońca, nie jest bynajmniej plagiatem złym. Gra światła na niebie, pokreślonem smugami obłoków, ma zaletę prawdziwości i żywo oddaje wczesny poranek letni z jego jasnością niepełną i niesmiałą, niepozwalającą odgadnąć, w którym to punkcie wypłynię na niebo ognista tarcza słońca. I linia widnokręgu jest odległą bardzo, dając perspektywę daleką. Ludzie, idący drogą, ziębną naturalnie i kulą się z wilgotnego zimna.

Rzecz jednak zabawna i charakterystyczna, jakim sposobem p. Dąbrowski osiągnął przyjemne wrażenie wielkiego bezmiaru pól, oto, nie jak domniemany jego kierownik, za pomocą pełnego finezyi i wryzu — odtworzenia sterzących zoddali wierzchołków drzew i domostw, lecz przez znaczne podniesienie granicy horyzontu. Owóż — to nie sztuka lecz sztuczka. Tym fortelem można oddawać na płaszczyźnie setki mil, ale trzeba by sobie wyobrazić, że malarz stoi wówczas na wzniesieniu, albo wzbija się balonem w górę. Bo niechaj na chwilę jeno zejdzie na zwykły poziom, wnet i perspektywa obniży się znakomicie. To też

patrząc na umyślnego, który drepce po bloście na obrazie powyższym, mimowoli zapytujemy siebie, gdzie należałoby stanąć ażeby go mózgiem widzieć tak całkiem z przodu, jak go namalował artysta — chyba przed nim samym, nos w nos. W każdym innym bowiem razie przy tem podniesieniu perspektywy, możnaby ujrzyć czubek głowy i wierzch ramion, a resztę figury tylko w skróceniu.

W dodatku, sama droga jest idealnie prosta; nawet tor kolejowy nie bywa tak bezwzględnie prostym.

Wiele zresztą zalet światła i powietrza utwor ten posiada i oto dlaczego zasługiwał wraz z towarzyszem swym, mimo brak oryginalności, na szerszą wzmiankę.

Krajobrazem dojrzałym i starannie wypracowanym znowu podtrzymuje dobrą swą sławę p. Stanisław Wolski. Rodzina obywatelska, przyjechawszy bryczką pod brzeg lasu sosnowego, używa słodkiego namiętnego sielankowem wczasu. Stara jejmość przechadza się wzdłuż drzew z książką w ręku, młoda panienka zrywa kwiaty na równiankę, sam pan dziedzic z fuzją, przewieszoną przez plecy, rzuca wyłowi gałązkę do aportowania, a żona jego siedzi pod parasolem na trawie i zajmuje się — ba, w tem właśnie sęk, że nie wiadomo co ona robi; prawdopodobnie odpoczywa i napawa się balsamicznem powietrzem, ale w takim razie na co to spojrzenie pozującej malarzowi modelki, z silnie podfarbowanemi oczyma? Widocznie jest świadomą tego, że ze swym jaskrawo-czerwonym stanikiem ma w obrazie odegrać rolę bardzo ważną, a mianowicie zapełnić brak tonów gorących. Z posłannictwa tego wywiązuje się dosyć szczęśliwie, szkarłat bowiem jej stroju silnie promieniuje na całe niemal płótno i znakomicie je ożywia; może nawet za znakomicie, bo rodzi znowu potrzebę tonów dopełniających, które spódniczka koloru lila, noszona przez panienkę, i kilka białawych skrawków nieba wyobrażają zbyt słabo.

Nie raziłoby to wcale, gdyby pejzaż malowany był dyskretnie, jak się u nas kłamiwie wyrażają: „po monachijsku“ — Monachium dawno straciło charakter jednolitej szkoły — że jednak koloryt jego podniesiony jest do skali wysokiej, zarówno w całym tle zielonem, bardzo silnie zielonem, jak i w plamach żółtych, więc ta niejednakowość siły, że tak powiem, pomieszanie *piana z fortissimem* niepokoi oko, i jestem pewien, że energiczniejsze zaznaczenie miejsc zimnych doskonale by obrazowi zrobiło.

Po za tem wszystkie momenty jak i całość technie prawdziwem życiem. Pysnie są wyczute cienie w głowach drzew, drożka podlesna z rzuconemi na nią sylwetami pojedynczych sosen, daje niemal przedsmak żywej natury; cała negligowna i nieestetyczną swobodę w postawie i ubraniu posiada jegomość, bawiący się z psem, dużo ma charakteru grupa bryczki z końmi, spoczywającymi na drugim planie w cieniu; daleko się rozciąga zielony kobierzec łąki upstrzonej w pół — ukrytem śród trawy kwieciami. Słowem, gorące, słoneczne i wonne zaranie swojego lata dobrze zostało zaobserwowane przez artystę. Strona techniczna świadczy wymownie, że Wolski jest malarzem nie tylko dobrego smaku, ale i dużo w swej sztuce umie, wszakże o ile troskliwie wystudował tutaj, refleksy, odblaski kolorów żywszych, o tyle rysunek w wielu szczegółach np. w rękach pani, trzymającej parasolkę, pozostawia, jak się u nas w podobnych wypadkach wyrażają urzędowi recenzenci pism codziennych — „trochę do życzenia.“ Naszem zdaniem o tyle „trochę“, że owe ręce godne są... obcięcia.

Cezary Jelent.

T E A T R.

[Edmund Gondinet. *Paryżanin*, komedia w 3 aktach.

Komedyopisarz lżejszego pokroju, odtwarzający wyłącznie typy z bruku paryskiego, Edmund Gondinet, po za rogatkami ulubionego miasta traci już swą popularność. Należy do autorów starszych (ur. w r. 1829), ale pomimo długoletniej pracy nie dorósł do Augier'a Sardou'a lub Dumas'a (syna). Sztuki jego są wytworne, nie przekraczające przyzwoitego tonu, zaprawione zręcznym dowcipem salonowym, ale nie są wyrazem szerszych dążeń lub uczuć społecznych; mało też posiadają pierwiastku psychologicznego. Czasem autor przyciemnia tło swych utworów barwą pesymistycznej tendencji (*Les braves gens*), albo występuje jako bojownik ze strony nierozważności związków małżeńskich (*Les grands enfants*). Do lepszych należy komedia, wystawiona obecnie u nas na deskach teatru Rozmaitości p. t. *Paryżanin* (*Un Parisien*). Bohater jej, Brichanteau (p. Tatarkiewicz), to paryżanin z krwi i kości, epikurejczyk w wyższym stopniu, szczerze przywiązany do eleganckiej dzielnicy miasta, po za którą nigdy się nie wychyla, do swego mieszkania z komfortem urzędzonego, do statuetek, obrazów i wszelkich drobiazgów, upiększających jego apartamenty. Bogaty, młody, żyje bez troski, może dogadzać swym zachciankom. Rozkoszą jest dla niego wsłuchiwanie się w gwar uliczny, jak dla wieśniaka szum lasów i chór ptasi. Życie takie nie stwarza jednak żeń wyniosłego zimnego samoluba. Autor, nie chcąc zrobić pasorzytem swej postaci pierwszorzędnej, daje jej sposobność do rozbudzenia uczuć humanitarnych. Brichanteau znajduje osieroconą ubogą dziewczynkę Genowefę (p. Zimajerówna) i przygarnia ją, daje wykształcenie, dostatek i spokój. Sam się do niej przywiązuje, obdarza uczuciem ojcowskim. Jest dla niej dobrym, łagodnym, nie grzeszy także surowością względem swego kamerdynera, spoufala go, śmiecha się wtedy, gdy ten mu powiada, że tylko u równego sobie może służyć. Całe zniecierpliwienie chlebobdawcy skupia się w łagodnej często powtarzanej uwadze: „Czego się tak krzywisz?” Raz tylko unosi się, gdy właściciel domu wymawia mu mieszkanie. Przywiązanie do lokalu jest osiłą, około której obraca się cała akcja sztuki. Nowy właściciel Savourette (p. Frenkiel), ożeniony z wdową, chce się pozbyć ze swego domu kawalera, wychowującego młodą dziewczynę. Pobudką tu jest zazdrość i obawa względem żony. W chwili gdy Brichanteau rozpacza nad utratą ulubionego mieszkania, zjawia się doń pani Pontaubert z mężem i córką pod pozorem jakiegoś urojonego powinowactwa i zaprasza go do siebie na prowincję. Paryżanin, obrzydziwszy swego prześladowcę, przystaje na to i zabiera z sobą Genowefę, nie przeczuwając, że nań zastawiono pułapkę matrymonialną. Łowy te odbywają się przez cały drugi akt. Leonida (p. Czaki), córka pp. Pontaubert, w samej rzeczy podoba się gościowi ze swej świeżej powierzchowności i wykształcenia uniwersyteckiego. Gdy młoda sawantka uprzejmie uczy paryżanina astronomii w sposób poglądowy i rozmawia z nim po grecku, plotkarska prowincja upatruje w tem schadzkę miłosną, a pani domu uważa to za wyłom forteczny, przez który usiłuje zdobyć twierdzę zięciową. Plotki, nieporozumienia, pojedynki, nudzą paryżanina, a zamknięcie Genowefy u jakichś kumoszek, zachowujących reguły klasztorne, wyczerpuje jego cierpliwość. W tym czasie przybywa „nowy właściciel“ i wywołuje scenę burzliwą: Savourette, wszedłszy do mieszkania Brichanteau w jego nieobecności, znalazł tam fotografię swojej żony i oto przebył 700 kilometrów po wyjaśnienie, które otrzymuje

wszakże nie wcześniej aż w Paryżu. Drażniony przez pisma i znajomych uwagami, że jest zazdrośny o żonę i dlatego wymówił mieszkanie, wraca je dawnemu lokatorowi z kontraktem na lat 20. Fotografia niby potrzebna była ministrowi, u którego Brichanteau wyrabiał order dla poprzedniego małżonka pani Savourette. W rzeczywistości był to dawny romansik. Komedia, traktowana lekko w dwóch aktach, przybiera ton poważniejszy przy końcu. Państwo Pontaubert nie przestają prześladować paryżanina, który w końcu obiecuje zenić się z Leonidą „jako prawdziwy gentleman.“ Jednocześnie stara się wydać swą wychowanicę za przyjaciela, Fryderyka de Fongerolles (p. Wolski) ale ten wzdraga się pod naciskiem opinii publicznej, potępiającej „pupilkę kawalera“ i prosi o zwłokę do namysłu dopiero wtedy, gdy opiekun zamierza adoptować dziewczynę i oddać jej połowę majątku. Rozwiązanie jest niespodziane; okazuje się, że Leonida kocha kogo innego i była tylko posłuszną woli matki, zaś Genowefa miłuje swego opiekuna, któremu naraz oczy się otwierają i następuje samowiedza uczuć w nim samym, nigdy nie badanych. Tę chwilę psychiczną autor usiłuje objaśnić niezwykle charakterem Brichanteau'a, szukającego zaspokojenia namiętności zmysłowych wśród lekkich mężatek i zachwycającego się niepokalanymi dziewczętami tylko jako pięknem wyższem. Od tych zasad w końcu odstępkuje, zaślubiając wychowanicę.

Gondinet zwrócił uwagę na dwie główne postacie: Brichanteau i Genowefę, dla tego też inne wyszły szkieletowo. Najbardziej razi niekonsekwencją postać Leonidy. Dziewczyna, która potrafiła osiąść nauki ścisłe i samodzielny sposób myślenia, nie zdobyła się ani na odrobinę woli i pomimo iż ma wpływ na matkę (przynajmniej robi takie wrażenie), jest w obec niej trusiakiem i dogadza jej zachciankom wbrew swemu sercu, w tak ważnej sprawie, jak związanie się na całe życie z człowiekiem obojętnym. Jeszcze bardziej razi nieprawdopodobieństwo w grze p. Czakównej, która z uczoney zrobiła... zupełną gąskę. Prawda, że dla artystki tej miary jest to za błaha rola, ale bądź co bądź nie zasługuje ona na lekceważenie tak widoczne. P. Tatarkiewicz wybornie odtworzył postać paryżanina i swoją grą z pewnością zadowoliłby autora. Drugą trudną i wielką rolę otrzymała p. Zimajerówna, z której wywiązała się dość szczegółliwie, ratując się inteligencją tam, gdzie rutyny brakowało. Znać, że artystka nie idzie po omacku. W pewności i swobodzie znajdujemy postęp, ale dykcja, jak zwykle, pozostawia wiele jeszcze do życzenia. Farsowego zakroju postać kamienicznika odegrał ze szczerem humorem p. Frenkiel. Kamerdyner Gontran i p. Pontaubert nie zwróciłoby wielkiej uwagi, gdyby nie wyborna mimika pp. Szymanowskiego i Ostrowskiego. W ogóle sztukę wystawiono starannie, dekoracje efektowne, co przy dobrej grze artystów powinno zapewnić jej powodzenie.

Zenon Pietkiewicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Rzeczywiście pótwna zbrodnia. — Głębokie wrażenie. — Artyści zbrodni. — Domniemanie. — Nieostrożność i niedbalstwo. — Tajemnica rzędzie. — O czym wprzód trzeba radzić. — Reakcja w uwielbieniu dla Kocha. — Ostateczna likwidacja Zwierzyńca. — Kozioł ofiarny. — Muzeum etnograficzne. — Zgodny chór. — *Gazeta polska* dokonywająca sugestii na Towarzystwie kredytowym ziemskim. — Jego sprawy domowe.

Doczekaliśmy się wreszcie prawdziwie potwornej zbrodni, nie tej, która swą potwornością służy tytułom artykułików *Ku-*

ryerowych, ale tej, która wstrząsa, pognebia, gniewem krew burzy i każdemu wlewa żądzę doraźnego *lynch law'u*. Od tygodnia wszyscy czytelnicy gazet są jak gdyby zmorfinowani strasznym wypadkiem na własne bóle i ubezwrażliwieni na inne nowiny: rozmyślają tylko o nieszczęśliwych ofiarach zbrodni, Szmicie i Kuźnickim, o zuchwałych i nieschwytych dotąd mordercach, o całej tej krwawej tragedii, która rozegrała się w wagonie kolejowym na drodze między Łowiczem a Pniewem. Spotykam ludzi, którzy ciągle w wyobraźni siadają do pociągu ze złoczyńcami, obserwują ich zachowanie się, odtwarzają sobie scenę mordu i kradzieży, widzą, jak jeden roztrząskuje głowę kastetem Szmittowi, drugi uderza sztyltem Kuźnickiego, który zrywa się, broni, walczy, ale wreszcie pod śmiertelnymi ciosami, ugodzony z tyłu przez tamtego, już niezajętego zbóją, upada, jak oprawcy wyrzucają zabitego i konającego z wagonu, jak zabierają 55,000 rs., wyskakują przed stacją i nikną w ciemnościach. Czasem imaginacja biegnie dalej za nimi, śledzi uciekających przez pola i zarośla, dopóki dwie okrwawione postacie nie rozpląną się w mrokach nocy. Nie pędzi zaś ludzi po tropach zbrodni bezmyślnie zaciekawienie, ląkanie wrażeń drażniących, ale głęboki żal i gniew. Bo w tej rzezi nie padli dwaj chciwcy, lichwiarze, wyzyskiwacze, ale biedacy, którzy nie zawiniłi nawet posiadaniem wydartych im pieniędzy, a musieli odznaczać się wyjątkową uczciwością, skoro im powierzano tak znaczne sumy. Jeden z nich, Szmitt, przez lat 20 woził co środa tysiące rubli do fabryk cukru, strzegł ich wiernie jak żelazna skrzynia i jak skrzynia został rozbity. To już nie zwykłe morderstwo, ale ohydne świętokradztwo, popełnione na zachości człowieka. Nie pamiętamy też u nas zbrodni, któreby w tym stopniu, co obecna, przejęła wszystkich zgrozą i pragnieniem kary na winnych. Zdaje się, że tłumy pobiegłyby dla odszukania ich, gdyby spodziewały się, że odnajdą. Z wykonania wszakże przedsięwzięcia i zebranych poszlak widać, że to są zbójce niezwykłej miary, nie jacyś prości rabusie, którzy myślą tylko o zdobyciu łupu i ucieczce na oślep. Tu plan był obmyślany misternie i przebiegle, wyzyskane wszystkie okoliczności, możliwie zatarte wszelkie ślady. Nie bez racji też utrwalilo się w opinii przekonanie, że lotry należą do nieco wyższych warstw społecznych, może nawet czytali *Człowieka zwierzę* Zoli i od niego wzięli pomysł morderstwa w wagonie i wyrzucenia ofiar, a w każdym razie zuchwałstwem, zręcznością i sztuką przypominają bardziej słynnych zbrodniarzy Zachodu, niż naszych złodzieiów pobytowych*). Sprzyjały im nieco okoliczności i — powiedzmy szczerze — nieostrożność i niedbalstwo. Ani Szmitt, ani dodany mu dla bezpieczeństwa Kuźnicki nie mieli nic do obrony, oprócz scyzoryka. Człowiek, który przez 20 lat jeździł co środa po tej samej linii z pieniędzmi, musiał być przecież znany służbie kolejowej. Tymczasem gdy kasyer na stacji w Pniewie daremnie wywoływał Szmitta, nikt z obsługujących pociąg nie poszukał tego Szmitta i nie doniósł, że go widział. Dopiero krew na poduszkach wagonu, dostrzeżona przez pasażerów w dalszej drodze, dała powód do późniejszego alarmu.

Obecnie w całym Królestwie odbywa się energiczne poszukiwanie złoczyńców, w którym, zachęcona wysoka nagrodą, bierze również udział ludność.

Nadzwyczaj ważną rolę w tej pogoni odgrywa kilka naszych dzienników. Porzuc-

*) Skutkiem schwymania ogrodnika z pod Pniewa, Baczynskiego, do którego się schronił i który był ich współnikiem, wiadome już są nazwiska łotrów: Franciszek Pawlak, ex-lokal, po zrabowaniu kasyera Scheblerów w Łodzi grający rolę pana, oddawna ścigany; drugi zaś Jan Wyroskiewicz.

no już dziś starą zasadę, wymagającą milczenia prasy o przebiegu śledztwa. W Ameryce gazety, rozrzucając wszędzie wskazówki i powołując całą ludność do uczestnictwa, niezmiernie ułatwiają wykrycie przestępców, a tamtejsi reporterzy bywają najznakomitszymi agentami policyi. We Francji również prasa przyczyniła się nie raz do ujęcia złoczyńców. Dobre skutki tej pomocy widzimy i u nas. Za najważniejszy uważamy ten stan podnieconej czujności, jaki się objawia w całym społeczeństwie. Najokropniejszy wypadek wstrząśnięcie umysłami chwilowo, ale jeżeli nie będzie utrzymany w świeżym wspomnieniu, szybko zatarze się w pamięci. Tymczasem ostatnie morderstwo dzięki prasie nie przestaje ciągle zajmować uwagi powszechnej, a zbrodniarze kryć się muszą przed milionami badawczych oczu. Ocalić ich może tylko albo nadzwyczajna przebiegłość, albo nadzwyczajne szczęście. Pierwszej dowiedli, drugie im służyło. Sumienie jednak ogółu czuje taką potrzebę pomśczeniową karą krwi niewinnie przelanej, że woli ludzię się nadzieja, niż rozczarowywać zwątpieniem.

Wobec tej krwi dziwnie wygląda „kwestya”, podniesiona na posiedzeniu akcyonariuszów jednej z fabryk cukru: kto ma ponosić szkody z takich wypadków wynikłe: zarząd, czy akcyonariusze. Mnie się zdaje, że wprzód należałoby rozstrzygnąć, kto ma odpowiadać za niedostateczne ubezpieczenie życia ludzi, używanych do przewożenia pieniędzy. O to nas pytają cienie Szmita i Kuźnickiego.

W uwielbianiu dla Kocha — było to zresztą do przewidzenia — objawiła się reakcja. W tym jednak odpływie uczuć jest tyle rozumu, co i w przypływie. Tłum — jak słusznie ktoś zauważył — po to ludzi wynosi w górę, ażeby z większej wysokości mógł ich na dół zrzucić. Do tego tłumu zaś należy nietylko zwykła, ciemna gawiedź, ale także wszyscy ci, którzy sami mało robią, ale chętnie innych sądzą. *Jury*, przed którym dziś stoi Koch, liczy miliony przysięgłych. Najsurowiej naturalnie wyrokuje o nim ci, którzy środka jego nie wypróbowali i nie dostali. A nie dostało wielu, bo zapas się wyczerpał, zresztą Koch udzielił go tylko tym, którzy dawali mu rękojmnię, że nie użyją szpiegunki dla spekulacji, lecz dla ścisłych i rzetelnych doświadczeń naukowych. Z naszych lekarzów otrzymał ją dr. Bujwid, znany badaczowi niemieckiemu z niedawnych u niego studyów i ciągłych stosunków. Bakteryolog nasz przystąpił do prób umiejętnie i sumiennie: grono lekarzy, zajmujących się sprawami gruźlicy, wybrało w klinikach szpitalnych pewną ilość chorych, którym, po spisaniu odpowiedniego protokołu, zaszczepiono płyn Kocha i poddano ich drobiazgowej obserwacji. Za kilka tygodni będziemy mieli już niejakię wskazówkę jego skuteczności, wolne od wszelkich fałszowań i skażeń tendencyjnych, gdyż zbadane i zebrane pod wielostronną kontrolą. Ze środek ten już dziś posiadamy i wypróbować możemy, jest to zasługa Bujwida. Wiele bowiem państw zdobyło drogocenną flaszeczkę tylko za pomocą staran swych ambasadorów; z prywatnych zaś lekarzy bardzo niewielu dostąpiło tego odznaczenia. Koch bowiem nie posiada odpowiedniego zapasu, a nade wszystko obawia się, ażeby spekulacja nie wyzyskała jego środka ze złą wiarą i wolą, ażeby nie wytworzyła chaosu wątpliwości i podejrzaných rezultatów, które na długo przesłoniłyby fałszami poszukiwaną prawdę. Z naszej strony żadne niebezpieczeństwo jego wynalazkowi nie grozi. Przejdzie on próby dokonane rzetelnie i bezinteresownie, a o tyle wyczerpujące, że Koch przyrzekł Bujwidowi dostarczyć swej szpiegunki do dalszych doświadczeń. Mają więc one zapewnioną nietylko ścisłość, ale i ciągłość.

Ogród zoologiczny ostatecznie już pożreban został. Uczestnicy spółki nie nie

odbiorą ze swych wkładów, gdyż majątek jej oszacowano na 9,758 rs., długi zaś wynoszą 27,507 rs. Spadną one wyłącznie na barki gerenta, adwokata J. M. Kamińskiego, który tym kosztem opłaci swoje marzenie. Utonął tedy w nieszczęśliwym przedsięwzięciu poważny kapitał, dużo pracy, wysiłków i zmarnowanej energii, a zobowiązaniami niepokrytemi długo jeszcze będzie ono pochłaniać środki człowieka niezamożnego, który je podjął może ze zbytym optymizmem, ale z dobrym zamiarem. Takie kąpiele chłódzą nietylko tych, którzy ich doświadczyli. Może niejedną setkę lat czas zbierze, zanim u nas ludzie pokuszą się o założenie nowego Zwierzynca.

Usiłowano przynajmniej ocalić połączone z Ogiem muzeum etnograficzne, do czego dopomógł p. Kamiński. Wyjaśnił on bowiem uczestnikom spółki, że po sprzedaży garści przedmiotów, będących jej własnością (inne pochodzą z darów prywatnych), nie otrzymaliby nic, gdyż osiągnięta suma przypadłaby jemu, jako wyłącznie odpowiedzialnemu wobec wierzyteli. Postanowiono zatem drogą dobrowolnej umowy zbyć muzeum gronu osób, pragnących je utrzymać. Będzie to jedyna pamiątka po Zwierzynca, który już faktycznie i formalnie istnieć przestał.

Prasa nasza, posiadająca zwykle tyle rozumów, ile ma głów, w ostatnich czasach kilkakrotnie objawiła dość rzadką zgodność. Między innymi uczyniła to w sprawie obsadzenia jednego z urzędów Towarzystwa kredytowego ziemskiego przez radę z wyboru, który potrzebował takiej reparacji swych interesów. Wprawdzie parę pism, które zrezygnowały z własnego sensu i wobec pewnych powag lub instytucji umieją *credere quia absurdum*, odłączyło się od chóru, a nawet usiłowało go rozstroić, ale napróżno. Do Towarzystwa przedostał się zbiorowy głos protestu przeciwko pokrzywdzeniu urzędników i — zdaje się — podzielał na nie. Jedni szanowną instytucję zbuczeli, drudzy wyszydli, inni obłożyli synopizmami, a inni wreszcie starali się ją zahypnotyzować. Najciekawszą sugestję wykonała na niej *Gazeta polska*. Zrobiwszy naprzd wymówkę prasie, że ta zajmuje się „domowymi zatargami” Towarzystwa, do których należy również sprawa mianowania radcy kasyerem, jednocześnie uznała, że „w gotowości Dyrekcyi głównej do uwzględniania tego rodzaju życzeń członków swoich... opinia publiczna znaleźć może punkt wyjścia do objawienia swego zdania.” Z taką, dość oryginalnie wyprowadzoną racją *Gazeta* rozpoczęła „poddawanie myślowe.” Pogłosce ona nie wierzy. „Ze któryś z radców — powiada — postawił swoją kandydaturę do posady etatowej, jest to *prawdopodobnem*; że pomiędzy kolegami dotychczasowymi znalazł zwolenników nielicznych, popierających jego zamiary, czy to przez współczucie, czy to przez butność i tężyznę, dla zadokumentowania swej niezależności, wobec wystąpienia prasy — i to jest *możliwem*. Ale stąd do rzeczywistego powodu zaniepokojenia pracowników instytucji *daleko*.” Daleko dlatego, że chociażby takiego kandydata po pierały jednostki *wpływowe*, to „wpływowość kilku osób (w zarządzie kolegiatnym, którego wszyscy członkowie są równoprawnieni) należałoby przypisać brakowi inteligencji, energii, dobrej woli, a wreszcie obojętnemu traktowaniu poręczonych sobie obowiązków ze strony członków niewpływowych.” Naturalnie *Gazecie* „trudno byłoby nawet przypuścić, iż tak ujemne właściwości cechują większość gremium dyrekcyjnego”; jest ona „przekonaną”, że większość ta „dobrze rozumie, jak niewłaściwem byłoby zniechęcać pracowników swoich i zrywać ogniwo życzliwości z jednej, a szacunku z drugiej strony, łączące władzę z podwładnymi. Dyrekcyja *rozumie*, że nie wypada jej przyswajać sobie zasady obsadzania wakujących wyższych posad

kandydatami postronnymi, z pominięciem praw wysłużonych. Dyrekcyja *rozumie*, że współczucie i miłosierdzie są to enoty, które wszakże tracą charakter chrześcijański, skoro są praktykowane z pokrzywdzeniem słuszności.” Czy Dyrekcyja to wszystko „rozumiała” — nie wiem, ale że „rozumiała” — nie wątpię, a nawet sądzę, że niejednym członkiem z grona jej większości powiedział: wolałbym, ażeby ten wielbiciel miał mniejszą w nas „wiarę.” Inna kwestya, czy Towarzystwo ulegnie tej sugestyi. Na razie — zapewne, ale gdy za radą *Gazety polskiej* jego „domowe zatargi” przestaną zajmować prasę, może po cichu jakiś radca przeskoczy baryerę oddzielającą go od urzędników tej instytucji i zajmie wygodne wśród nich miejsce. Wiadomo zaś, że „tylko pierwszy krok kosztuje,” następny można już zrobić darmo i bez przeszkody. Możeby więc nie odstręczać prasy od wglądania w domowe sprawy Towarzystwa, zwłaszcza że żadna instytucja publiczna „domowych” spraw mieć nie może?

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Co zyskują rolnicy u nas na bilu Mac Kinleya? — „Cnoty robotnicze.” — Uwaga. — Głos jawnego kupca przeciw tajnym. — Nowa fabryka w Częstochowie.

Kij, który Ameryka w postaci bilu Mac Kinleya włożyła w mrowisko Europy, najbardziej poruszył przemysłowców, najmniej zaś — rolników. Jeśli oba te odłamy wstrząsnął, to pierwszych w przykry, a drugich w przyjemny sposób. Fabrykanci, słysząc zgrzyt klucza, zamykającego przed nimi wrota rynków amerykańskich, uderzyć muszą w płacz, gdy tymczasem rolnicy już wypogadzają czoła i zacierają ręce. Taka bowiem jest natura bilu protekcyjnego, jest on ciosem wymierzonym przedewszystkiem przemysłowi wielkiemu — rolnictwa nie dosięga. Ono już zawczasu oblicza zyski z tego zamachu. Rachunek bardzo prosty. Wcześniej lub później wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe zmuszone będą albo zwinąć swoje warsztaty, albo zmniejszyć produkcję. To pierwsze jednak nie będzie mogło się stać bez dotkliwych strat i katastrof, a ponieważ rynki amerykańskie są zamknięte, wywóz przemysłu zachodnio-europejskiego skieruje się natychywiej do nas. To pociągnie za sobą zniżenie się cen na wyroby żelazne, bawełniane, wełniane, jedwabne itp. Naturalnie że na tem zyskają rolnicy, ponieważ mniejłoży będą na maszyny i narzędzia rolnicze, na jedwabie córek i żon, na okrycia własnego grzesznego ciała i. t. d. Ale nie dość na tem: zwiększy się odbyt na zboże krajowe, a z nim — cena jego. Amerykanie bili nas dotąd nietylko lepszą organizacją handlu, ale także niższą ceną, która zależała od taniego przewozu zboża do Europy. Przed bilem Mac Kinleya statki parowe wiozły do Ameryki różne towary przemysłu, a wracając do domu, jako balast zabierały zboże amerykańskie, co wpływało na taniość przewozu. Dziś będą musiały wiozić tylko zboże, co odbije się na taryfie przewozowej. Liczyć coś trzeba i na odwet państw najbardziej dotkniętych bilem, że ograniczą dowóz zboża amerykańskiego. To bezrobocie kapitalistów europejskich przeciwko amerykańskim sprawić może, iż po zboże zwrócą się do nas. Ceny podskoczą w górę!

Harmonia interesów klasowych, oparta na wyniosłej i tyle chwalebnej zasadzie „wymiany usług,” nie może chyba znaleźć lepszego potwierdzenia dla siebie.

Niewątpliwie przyszłe społeczeństwo znajdzie słuszniejszy i rozumniejszy sposób rozwijania w swych członkach zalet dobrego i sumiennego pracownika, szafującego siłą roboczą w zupełnie odmiennych wa-

runkach, niż dzisiejsze. W obecnym tę rolę biorą na siebie indywidualistyczni kierownicy produkcji i swoją pedagogikę mocno zabarwiają dążnościami własnej klasy, wpływem własnych interesów. Tresują oni zwykle najemnika dla własnych celów, do jego techniczno-fachowego uzdolnienia, które streszcza w sobie postępek ogólnoludzki i jest cechą umysłową, wolną od wszelkich śladów jakiegokolwiek klasy, dodają jeszcze to, co stanowi właściwość pracy, wykonywanej nie dla siebie samego, lecz na rzecz innej osoby. Ten odcisk moralny, pozostawiony na duszy najemnika przez produkcję prywatną, ten wynik przemijającego stanu rzeczy — możnaby nazwać „cnotami najmity.“ O te cnoty, czyli o świadectwa służbowe idzie jednemu z ziemian, który zabrał głos w *Gazecie lubelskiej*. Stara się on rozwiązać zagadkę, dlaczego ludzie, otrzymujący owe świadectwa, nie zawsze w dalszej służbie usprawiedliwiają przymioty zaznaczone. Rozmaite są tego przyczyny. Naprzód zmiana chlebobdawcy i „wynikająca stąd niezbędność zastosowania się do innego nieraz charakteru otrzymywanych rozkazów.“ Zależy to także od charakteru samego właściciela, od podstawy na jakiej on organizuje gospodarstwo. „Jeden osobiście i czynnie gospodaruje, drugi wykonywa obowiązki właściciela przez delegatów. Dla jednego zachowują ludzie w służbie u niego będący, uszanowanie połączone z bojaźnią, dla drugiego — uszanowanie z mniejszą dozą bojaźni.“ Otóż jeżeli aajmita opuszcza pierwszego z tych gospodarzy, u którego cnoty robotnicze występowały na jaw dopiero pod groźbą kary lub surowego dozoru, a zatem oddala się z dobrem świadectwem (że był sumienny, posłuszny itp.), a przechodzi potem do innego, gdzie cała „harmonia gospodarza“ polega na lżejszym dozorze, to cnoty jego nie ujawniają się i w nowej służbie zyskuje on sławę i świadectwo — niesumienności. I odwrotnie, opuściwszy pryncypała, u którego mniejszy rygor wystarczał dla wydobycia cnoty najmickich i przeszedłszy tam, gdzie panuje sprężysta ręka, łatwo może się skłonić do nadużycia. Z tego właśnie źródła wypływa dość upowszechniony fakt niezgadzenia się późniejszej konduity robotnika ze świadectwem uprzedniego, wymuszonej jego moralności. Nakreśliwszy w ten sposób genezę cnotliwości najmickiej, podaje szanowny „dziedzic“ następującą radę praktyczną:

„Byłoby może dobrze, gdyby we wszystkich świadectwach były zamieszczane warunki, przy jakich się sposprzecagać pozwalają odpowiednie przymioty pracowników, jak np. wielka ich sumienność przy warunkach ścisłego dozoru, albo podobnie wielka niesumienność przy dozorze łagodniejszym: nie jest to żadne ułudzenie w ten sposób kwalifikowanym indywiduum, nie jest to bowiem zaprzeczenie ich dobrej intencji, jakby sądzić mógł ten, co by powiedział, że w pierwszym razie przymus, a w drugim łagodny nadzór były warunkami *sine qua non*, żeby służący postępował dobrze. Przeciwnie, zamieszczenie w świadectwie warunków, towarzyszących dobrem przymiotom, byłoby ze strony chlebobdawcy świadectwem wypisywanem *samemu sobie*: jakie on środki, łagodne czy surowe przyznaje, żeby dobra pracownika intencja koniecznie się urzeczywistniła.“ Do tego życzenia ośmiela się dołączyć szanowny wnioskodawca jeszcze jedno, mianowicie, pragnie, żeby „dziedzice“ posiadali „księgi zarobkowe“, w których byłyby zapisywane wyłącznie mniej więcej „wybitnie występujące“ zalety pracowników i „żeby dla ich dzieci w ciągu objawiających się tych zalet formować biografię ich ojca.“ Byłoby to „drogą pamiątką“ dla całych generacji najmitych wiejskich, bo cnoty ich rodziców utrwalalaby się podwójną drogą: przez dziedziczność i tradycję..

A teraz my wysnujmy do końca ukrytą

myśl tego wniosku. Co znaczy w gruncie rzeczy wyszczególnianie w świadectwach służbowych warunków, przy których najmita urzeczywistnia dobrą „intencję dla pracodawcy?“ Jeśli to będzie jeden z tych, który pod rygorem okazał się „cnotliwym“, a w mniej sprężystym ręku „skłania się ku nadużyciom“, pomieszczone w świadectwie „warunki“ będą tylko wskazówką dla następnych pracodawców jak mają go traktować w służbie: łagodnie, czy surowo. Czem znowu są owe „warunki?“ Lepiej zamiećmy, jeśli nie chcemy dotrzeć aż do najskrytszych tajemnic gospodarki folwarcznej i wynieść stamtąd na światło to, co pragnie być ukrytem... Przyzwolicie się wyrażając, są one szeregiem środków dyscyplinarnych, jakich pracodawcy więcej używają względem swoich pracowników, skłanianiem do tego przez system pracy najemnej i — co zatem idzie — przez interes prywatnego wytwórcy.

W innym głosie z publiczności, który się także ozwał ze szpalt *Gazety lubelskiej*, zadźwięczał apetyt monopolisty. Skarży się on w imieniu kupców lubelskich, swoich kolegów, na brzydki zwyczaj — zbyt rozwinięty pod ich boki, „popyt do handlu“ (tak!). „Od pewnego czasu — zali się — wśród osób zupełnie niekompetentnych, bo o handlu niemających żadnego wyobrażenia, rozwija się pragnienie zarobkowania na tajnej sprzedaży różnych artykułów drogą albo wzajemnego *ustępowania* sobie sprowadzonych wprost ze źródeł towarów, albo zbierania w pewnych kółkach pieniędzy na *wspólne* sprowadzanie towarów i *dzielenie* się nimi po otrzymaniu.“ Na pozor ta robota wygląda przyzwolicie, po prostu idzie tu konsumentowi o zaopatrzenie się w artykuły dobre i z pierwszej ręki, przeciwko czemu nie odważa się ów oskarżyciel powstawać. Ale oko jego sięgnęło dalej — aż po za przyzwitość, za którą stoi praktyka, inaczej wyglądająca. Jeden poznawszy się za granicą z hurtownikiem lub jego komisantem, przyjmuje po powrocie do kraju obstalunki od swoich znajomych i sprowadza dla nich dużemi partiami wino i koniaki; drugi zawiązał stosunki z fabrykantem tytoniu i sprowadza od niego cygara i tyton; trzeci, mając kuzyna składnika lub plantatora herbaty, całemi setkami funtów sprowadza od niego ten towar itd. I czynią to wszystko tajemnie z obawy ciężarów, jakie dostają się w udziale jawnemu handlowi, obdzielają tajnych spóżywców częstokroć zamiast, jak zapewniali, wyborowymi gatunkami — poślednimi. A tymczasem jawni kupcy mają sklepy otwarte, wynajmowane drogo; utrzymują obsługę, którą, na domiar nieszczęścia, obowiązani są odpowiednio wykształcić; opłacają patenty handlowe, podatki dodatkowe, kanon na kasę miejską i wiele — wiele innych jeszcze ciężarów, o których niewtajemniczonym — ani się śni. Nadto, ciąży na nich dużo obowiązków społecznych, bo są dla wszystkich widoczni itd. itd. Tajny kupiec niczego podobnego na sobie nie dźwiga. „Nie tylko jednak pojedyncze indywidua, czy nie wielkie grupy, uciekają się do tego rodzaju zarobków, ale nawet *całe instytucje*“ — zwierza się w dalszym ciągu łakomy kupiec. Nie biorę w obronę stanowczo żadnej strony — ani jawnej, ani tajnej — bo nie wiem, jakie by dało świadectwo sama rzeczywistość, ale wydziwić się nie mogę temu chłodnemu spokojowi, z jakim *Gazeta lubelska* przysłuchuje się głosem rozbrzmiewającym na jej szpaltach, nie zabierając w tej samej materii — swojego! Może poczeka, aż jaki inny ze strony „tajnych kupców“ odpowie tamtemu, ale radząc w ten sposób na brak współpracowników bezpośrednio śledzących bieg miejscowego życia społecznego i abdykując z roli kierowniczej opinii publicznej — sprawia w niej zamęt. Tymczasem kto wie, czy krucjata, podjęta w imieniu jawnego handlu, nie jest protestem drobnego sklepikarstwa przeciw

nieświadomej sobie, nie zorganizowanej (kooperacyjnie) potrzebie samopomocy spóżywców i czy czasem owi tajni kupcy nie zadość czynią w pewnej mierze tej potrzebie, spotykając ze strony legalnych — denuncyacją zazdrości? Na wszystko należałoby zwrócić uwagę, jak też i naten fakt, zaznaczony wyżej, że w sprawie tej biorą udział „całe instytucje“ (jakie?).

Częstochowie przybywa nowa fabryka, wielka przędzelnia firmy „Motle, Meillasoux, Caullier et Delaousse.“ Puszczonej ma być w ruch w końcu grudnia, rękami krajowych najmitych. Jest olbrzymi gmach, wzniesiony w ciągu pięciu miesięcy za sprawą olbrzymiego kapitału i trzech tysięcy rąk roboczych (1500 robotników). Szeroki jest na 76 stóp, a długi na 86, z kominem 200-stopniowym. Maszyna parowa ma siłę 800 koni, a sala do czesania i przedzenia wełny wynosi 500 stóp długości i 136 szerokości. Wszystkie zakłady są skanalizowane i w wodociągi zaopatrzone.

Z. Atanazy.

UNIKAT LITERACKI.

II.

Uprzednio jednak małe objaśnienie metodyczne.

P. Głowacki, który w przeciwstawieniu do mnie zdaje się wyprowadzać swój rodowód literacki od najdelikatniejszego z synów Noego, był tak grzecznym, że nietylko zwymyślał mnie od „oszczerców“, „rozmyślnych fałszerzów“, „egoistów“ itd., ale zarazem w tych epitetach dał mi słowniczek polemiki przyzwioitej, a nadto swemi uwagami o moim umyśle i charakterze nakreślił granicę, do której w rozbiórze psychologicznym autora, według niego, posuwać się można. Dogodzę mu też zapewne, gdy będę się trzymał i tego słowniczka i tej granicy.

Ponieważ na zasadzie mojej wzmianki, że „może najsłabszą stroną autora jest plan, układ, kompozycja“ — p. Gł. „przypuścił, że p. S. bywa niekiedy *poważnie chorym*, skoro odważa się bez dowodów (zobaczmy) stawiać *podobne* zarzuty, „to niech mi również będzie wolno na zasadzie powyższych zestawień i poniższych wskazań postawić dyagnozę, że mój szanowny lekarz także „bywa niekiedy *poważnie chorym*“ na dwie manie: wielkości i prześladowania. Pierwsze z owych złudzeń objawiło się u niego z taką w literaturze nieznana siłą, że gdyby ktoś tej samochwalbie zawierzył, powinienby pójść przed posąg Aristotelesa i powiedzieć: zejść stary, bo wkrótce na twym piedestale stanie p. Głowacki. Shakespeare przeczytawszy jego autokrytykę w *Kurjerze* rzekłby: „rozkraczył się na dwu brzegach morza jak kolos Rodyjski, pod którym okręty przepływać mogą z najwyższymi masztami.“ Pycha ta ma, nie jak zwykle, jedno oblicze zabawne, ale dwa: rozśmiesza bowiem nietylko swoją miarą, ale i swoją naturą. P. Gł. nie przypomina Schopenhauera, który mniemał, że jest największym filozofem, bo przynajmniej był wielkim filozofem, ale raczej Granta, który obrażał się za tytuł prezydenta, gdyż uważał się za znakomitego generała. Autora *Placówki* oburza nazwa dowcipnego humorysty i mistrza drobnych obrazków, porównanie z Dickensem, Thackerayem Meissonierem, bo on jest głębokim i wysoce zasłużonym ekonomistą, socjologiem, a nadewszystko statystykiem — dlatego, że wydał 7 tomów powieści, z których „żadna go nie zadawała“ a powszechnie są cenione, oraz dlatego, że dał w „Kronikach“ kilka rad praktycznych, ogłosił „program dla siebie“ i napisał kilka artykułów statystyczno-ekonomicznych, którym odmówiono wartości naukowej i uznano za wylew bezwiednego humoru. Za-

znaczyłem, że Prus w szkole odznaczał się większym od innych rozwinięciem umysłem, kpinkowaniem i humorem w zakresie pojęć i wiedzy gimnazysty. Możliwy to powiedzieć o największym pisarzu bez ubliżenia mu, ale nie o takim kilkonastoletnim olbrzymie, jakim był p. Głowacki. To też odpięra o moje twierdzenie jako potwarz, oświadcza, że nie drwił ani z kolegów, ani z nauczycieli (jeżeli to robiłeś czytelniku, a kto z nas nie robił, zapewne nie poczytujesz sobie za zbrodnię młodości), upewnia, że nie „rozumiałem“ ani tej „jednostki“, ani „całej generacji“, z którą kolegowałem, gdyż „chłopcy ówczesni byli to *twie* szczeniata, dzieci *rasy* (?) wojennej (?) i barbarzyńskiej (?).“ To nie żart! Bo jakkolwiek „uczyli się lekcyi niezbyt chętnie,“ a „równie często siedzieli w kozie lub kłęczeli na środku klasy, jak zajmowali się książką,“ ale czytywali: „ekonomię, statystykę, psychologię, historję filozofii Szweglera, mechanikę i rachunek różniczkowy, filozofię historyi Vico, dzieła Śniadeckiego; *znano* też Renana i *coś* słyszano o Darwinie; rozprawiano o Bogu, duszy, nocie i przestrzeni, o nadużyciach szlachty, nędzy chłopów, położeniu żydów itd.“ Bagatela! Ani przeczuwałem, że wśród moich towarzyszy jest tyłu Bucklów i Dühringów, a nawet w wielu wypadkach domyśleć się tego nie mogłem, bo któżby przypuścił, że między r. 1856 a 1866 gimnazysta już u nas „znali“ Renana i *coś* „słyszeli“ o Darwinie, kiedy, o ile mnie dziś wiadomo, nie dzieci, ale ludzie dorosłych w Królestwie po raz pierwszy z Darwinem zapoznał Br. Rajchman w r. 1869. Śród tych „*lwich* szczeniąt“ p. Gł. wyróżniał się tylko jako „fanatyk matematyki i nauk przyrodniczych“, który studiował statystykę, ekonomię, logikę, psychologię „i tak dalej.“ Rzeczywiście o tem wszystkiem nie a nie nie wiedziałem, a z późniejszych matematyczno-ekonomiczno-statystycznych - logicznych jego popisów odgadnąć tego nie mogłem. W literaturze bowiem jest on dobrze znany jako powieściopisarz i fejtetonista, w naukowej jako badacz nieznany wcale. Ile razy napisał powieść, prawie zawsze go chwalono, ile razy napisał artykuł statystyczno-ekonomiczny, prawie zawsze dowodzono mu, że nie zna przedmiotu i nie umie obchodzić się z cyframi. „Przez kilka lat — jak zaręcza — *próbował* stosować matematykę do logiki“ „a wprawiał się w sztukę pisania, *tworząc* wykład logiki popularnej,“ ale ponieważ tych dzieł nikt nie widział, więc nikt ich naleździe nie uczył.

„Gdyby p. Ś. był pozytywistą — powiada p. G. — w takim razie odkrywszy np. we mnie „humor,“ „powinienby naprzód objaśnić, co to jest humor.“ Istotnie tego nie zrobiłem, a p. G. jest zbyt pobłażliwy, bo nie policzył mi tego, że nie objaśniłem również, co to jest: talent, artyzm, powieść, kontroler, lokomotywa itd., chociaż tych wyrazów użyłem. Na szczęście wyręczył mnie mój mistrz, który wszystko wie i wszystko rozumie. Wprawdzie gdy czytałem głęboki jego wywód, zdawało mi się, że ktoś dmucha w słownik, z którego wylatują i przypadkowo układają się wyrazy, ale taka to już moja dola wobec generacji „*lwich* szczeniąt“ — nigdy ich nie pojmuję. Mogę przeto tylko powtórzyć, że — według p. G. — „dowcip najgłębszy jest taką kombinacją pojęć, w której za pozorną niedorzecznością kryje się trafne spostrzeżenie,“ „humorysta zaś w wielkim stylu znajduje się na linii środkowej, równo oddalony od realizmu i pesymizmu, jak i od idealizmu i pesymizmu.“ Zróbcie sobie z temi „definicjami,“ co wam się podoba, w potrzebie możecie je nawet zastosować do prawd naukowych; ja tylko jeszcze dla dopełnienia ich dodam, że p. Gł. według p. Gł. „z mnóstwa zalet cechujących humorystę posiada *niewątpliwie*... metodę badania rzeczy z kilku stron.“ Do tej „metody,“ za pomocą której w moich o nim uwagach wykrył tylko

„obelgi, insynuacje, fałszy i oszczerstwa,“ doprowadziło go: „Naprzód *porządne* ukształcenie realne,“ „wielostronna obserwacja“ i „*nie spodziane* definicje, które na całym świecie mogą *pobudzać do śmiechu*“ (definicje p. Gł. często nawet wbrew jego woli osiągały ten skutek). „Powtóre — naszą bieżącą i powiesciową literaturę *od dawien dawna* produkowali: poeci, historycy, muzycy, filologowie itd. Gdy więc w tem gronie znalazł się człowiek z ukształceniem *zupełnie innego rodzaju*, z konieczności musiał wypowiedzieć *wiele niesłyszanych* dotąd poglądów.“ Naturalnie tym człowiekiem, który wniósł do literatury naszej nieznane przed nim myśli, tym siewcą „niesłyszanych poglądów“ był p. A. Głowacki. Trzecią siłą, która go dźwignęła na to mesyaniczne stanowisko, były „nauki przyrodnicze, a nadewszystko logika.“ Zapewne jesteś ciekaw czytelniku, gdzie nasz reformator zdobywał swoje „porządne ukształcenie,“ swoje „ukształcenie innego rodzaju,“ wreszcie „nauki przyrodnicze, a nadewszystko logikę?“ Nie umiem objaśnić. Skończył gimnazjum, gdzie nie miał osobnych nauczycieli; do Szkoły Głównej uczęszczał bardzo krótko, ale takie studia lekceważył, gdyż moją wiedzę, chociaż ukończyłem dwa uniwersytety, uznał za żalem za „nieuporządkowaną;“ nie słyszałem, ażeby pracował w laboratoriach przyrodniczych, książek wyłącznie dla niego nie pisano... Więc prawdopodobnie coś czytał, tylko że my kpi nie umieliśmy z kwiatów myśli ludzkiej wyciągnąć miodu mądrości, a on go wyssał. I znowu może spytacie, gdzie są owoce tych rozległych i głębokich badań naukowych p. Głowackiego? Szanowny uczony usprawiedliwia się: „Nie ja winienem temu, że rodacy moi niechętnie myślą np. o astronomii bez... gorsetu, a socyologię daleko łatwiej wolą studiować od strony podwiązek, aniżeli od głowy.“ Winą tedy było „rodaków,“ którzy jednak od kogo innego umieją uczyć się astronomii bez gorsetu i socyologii bez podwiązek, że p. Gł. został znakomitym humorystą, zamiast znakomitym uczonym, tak jak Żółkowski „pod naciskiem ogólnego usposobienia został genialnym komikiem“ i... nie znając autobibliografii Prusa, napisał o swoich występach dziennik trochę skromniejszy.

Chociaż może już zmęczycie się zadziwaniem głowy w górę dla sięgnięcia wzrokiem do wysokości tego olbrzyma, wobec którego mam zaszczyt być karłem, musicie ją podnieść jeszcze wyżej. Nie było bowiem ani jednej ważnej sprawy publicznej, którejby „Kroniki“ p. Gł. „nie roztrząsały, nie popierały, a nawet nie przygotowały do niej gruntu. Niech odpowiedzą na to — woła ojciec wielu instytucyj — inicjatorów bezpłatnych kuchni, domów noclegowych, przytułków położniczych, towarzystw gimnastycznych, Lutni, Towarzystwa popierania przemysłu, pracowni naukowych, wystaw, szkół rzemieślniczych, pracy kobiet itd.“ Jak Napoleon I — sam sobie włożył koronę! Świadkowie tej koronaacji domyśleć się powinni, że podczas gdy p. Gł. „roztrząsał, popierał i przygotowywał grunt“ społeczny dla rozmaitych instytucyj, *nous autres* redaktorowie, fejtetonisi i literaci albo przypatrywaliśmy się biernie tej pracy obywatelskiej, albo nie podejmowaliśmy jej gorliwie, albo też — jak ja — prowadziliśmy „robotę rozkładową,“ głosili „zasadę powszechnej walki o byt,“ „ponizali i zniesławiali.“ Inaczej, gdyby coś było dobrego do zapisania na moje conto, humorysta, który głównie tem się odznacza, że „ogląda rzeczy z kilku stron,“ byłby o tem wspominał. Ja zaś przemilczałem o tych doniosłych jego zasługach naprzód dlatego, że przez dziwne zasłabienie nie dostrzegłem, iż temu zawdzięczamy wyłącznie lub głównie roztrząsanie i popieranie przedsięwzięć społecznych, uważając ten trud za wspólną pracę całego dziennikarstwa, a powtóre dlatego, że podjąłem karygodne za-

danie rozbioru tylko literacko-artystycznej działalności Prusa. Zwymyślany „pryzwoicie“ za to oszczerstwo, mam jednak tę pociechę w moim wstydzie, że może kiedyś inny humorysta, obejrzawszy mnie „z kilku stron,“ wypłaci mi należność za „uprawę gruntu“ w winnicy spraw społecznych, bodaj za rzucenie pierwszej myśli i uczeniostwo w ułożeniu ustawy Kasy Mianowskiego, należności, do której żadnej nigdy nie rościłem pretensyi. Jest to sława znaleziona.

A teraz, moi czytelnicy, ponieważ wyżej oczu podnieść nie możecie, wraz ze mną na kolana! P. Gł. bowiem, niestrudzony całą tą masą dzieł wielkich, „zapomocą indukcyi i dedukcyi“ odkrył „naturalne prawo rozwoju społeczeństwa,“ na którym oparł swój „program“ z „trzema gwiazdami: szczęściem, użytecznością i doskonałością.“ Jakkolwiek trzy te gwiazdy ogarniały „cały świat żyjący,“ jakkolwiek ów uiluminowany niemi „program“ był „uporządkowaniem, wytłomaczeniem i zapowiadaniem faktów, które sprawdzają się ciągle,“ p. Gł. „napisał go *dla siebie*; ażeby sobie samemu wytknąć kierunek pracy literackiej.“ Ta skromność przeznaczenia programu była zapewne powodem, dlaczego zapomniał o nim i „cały świat żyjący,“ i „ludzką ucywilizowaną,“ i „społeczeństwo“ — ja. Wydał on mi się powszednią, frazeologiczną mgłą, w której trójgwiazdową konstelację można było zastąpić każdą inną (np. wiedzą, swobodą, równością itp.). A jednakże musiał on być czemś genialnym, kiedy twórca jeszcze raz ryje go na pomniku swej chwały i czemś daleko wychodzącym po za granice mojej pojętności, kiedy mnie pyta z dumą: „a może p. Ś. chce wiedzieć: co to znaczy program społeczny?“ Teraz wiem i zaraz przed panem profesorem egzamin złożę.

(D. c. n.).

A. Ś.

KRONIKA.

Nowe przedsiębiorstwo.

Kuryer Warszawski donosi o spółce kapitalistów, która zawiązała się w Warszawie i zamierza budować domki parterowe murowane w różnych dzielnicach miasta, w cenie od 6—8000 rs. Każdy domek ma się składać z kilku pokojów, kuchni, spiżarni, piwnicy, pralni, łazienki, mieszkania dla stróża i składu na drzewo i węgle, zajmując przestrzeń 1/4 morgi, w taki sposób, że można będzie urządzić ogródek i dziedzińec. Podobno członkowie spółki nawiązali już z magistratem rokowania o nabycie gruntów miejskich około rogatek jerozolimskich, a ich agenci poszukują niedrogich placów w innych dzielnicach miasta. Domki te można będzie nabywać na własność, umarzając ich wartość za pomocą komornego. Spółka zamierza nadto przeprowadzić donioślejszą operację, chce budować jeszcze mniejsze domki przystępne w nabyciu dla klasy robotniczej, lecz napotyka obecnie na przeszkodę w przepisach policyjno-budowlanych, które wymagają, żeby front domu z zajązdem zajmował 37 łokci przestrzeni. Spółka rozporządza sporym kapitałem i działalność rozpocznie na wiosnę roku przyszłego.

Jesli się okaże, iż przedsiębiorstwo to, niebawem w naszych stosunkach ekonomicznych, nie jest złudzeniem reportera, lecz faktem, wypadnie go z czasem oświecić doświadczeniem zagranicy (Mulhouse'y, Peebodych itp.).

Powodzie i burze w Europie środkowej.

Znowu telegramy rozniosły wieść o klęskach żywiołowych: trzęsieniach ziemi, burzach i powodziach, które dotknęły Europę środkową. Nie-

dawno miasta i wsie czeskie mokły w wodzie wezbranych rzek, a dziś ten los znowu je spotyka. Liczne wsie i miasteczka zalane, Karolowe-Wary (Karlsbad) stoją pod wodą, która dosięgała 3 metrów, rozbijała żelazne drzwi, porywała towary ze sklepów. Koleje zagrożone są bezruchem. Również i południowe z północnymi Niemcami uciierały od rozkiełzanych sił przyrody. Nad Frankfurtem nadmieńskim, Wiedniem, portami morza niemieckiego przeleciały orkany. Te ostatnie, jak też kopalnie w Bruch (gdzie wielu górników poniosło śmierć) uciertały od wylewów. Liczne koleje, skutkiem uszkodzonych nasypów, zawiesiły ruch. Nad Londynem szaleje orkan. Na wybrzeżach angielskich wiele okrętów uległo rozbiciu. Fabryki i kopalnie zalane.

Wielka Encyklopedia.

Szybkim krokiem postępuje wydawnictwo „Wielkiej encyklopedyi ilustrowanej”, której ukończono już tom II. W tak olbrzymiej księdze, wśród tylu artykułów, drobne usterki są nieuniknione. Nie wskazujemy ich tu wzorem *Biblioteki warsz.*, która postawiła wymagania nieco przesadne i niezawsze uzasadnione. Daleko więcej bowiem widzimy zalet, sumiennej pracy i widocznych starań. Część literacka opracowana po większej części gruntownie, strona ilustracyjna udoskonala się.

Kalendarze.

Te słomki przednoworoczne rozpoczęły już swój „ciąg” długim łańcuchem. Promyk wydał swego zwykłego „Gościa” dla ludu, zaopatrzywszy go głównie wiadomościami przyrodniczymi. Nowym przybyszem jest starannie opracowany i gustownie przybrany „Kalendarz polski.” Jak jego poprzednicy, kosztuje on tylko 50 kop., ale pod względem druku, papieru, wizerunków i wogóle zewnętrznych przewyższa wszystkie dotychczasowe. Pobieżny przegląd nie pozwolił nam sprawdzić dokładności jego informacji, ale też nie wykazał nam błędów. A informacji tych jest bardzo wiele.

Skromnie, prawie ubogo wobec tego strojniasa wygląda „Rocznik płocki,” ale ma on swoje znaczenie jako objaw myśli i życia prowincyi, zwłaszcza tej, która, jak plocka, nie posiada własnego organu w prasie. Wydawnictwo to zajmuje się wyłącznie sprawami miejscowymi.

Sprawy społeczne. Urzędnicy i oficjaliści technicznych biur wodociągów i kanalizacyi w Warszawie postanowili założyć kasę pożyczkowo-wkładową. — Pracownicy kolei Terespolskiej uzyskali pozwolenie na organizację stowarzyszenia spożywczego. — Warszawskie Towarzystwo ogrodnicze wyznaczyło w r. b. dwie nagrody po rs. 100 i 75 dla ogrodników za długoletnią uczelwą służbę w jednym miej-

scu. Kandydaci powinni nadesłać świadectwa osób, u których pracują, poświadczające przez dwóch sąsiadów (przed upływem grudnia r. b.) do kancelaryi Tow. ogrodniczego.

— Z zapisu Janusza Rostworowskiego wydane będzie 28-go stycznia r. p. 80 wsparć po rs. 30. Podania na imię p. Prezydenta przyjmowane będą do 22 grudnia r. b.

— Z powodu wychodźstwa *Now. Wrem.* pyta, czy nie należałoby na miejscach opuszczonych przez polaków osiedlać rosyjan z Cesarstwa. „Obawiamy się — mówi gazeta — dawać odpowiedź twierdzącą. Przy istniejącym w kraju porządku kolonie te z pewnością musiałyby upaść, a to mogłoby być przyjęte za dowód, że rosyjanin nie jest zdolny osiedlać się w miejscowościach cywilizowanych. Do liczby przeszkód, sądzimy, należą: 1) komisarze, którzy będąc podwładnymi gubernatorów, są pozbawieni możności samodzielnej rewizyi zarządów gminnych i szkół ludowych; 2) polski sąd gminny i polska adwokatura 3) wyłącznie polskie zabarwienie bytu ekonomicznego i osobistego składu kancelaryi. Dlatego trzeba naprzód oczyścić i przygotować grunt, a dopiero potem mówić o osiedzeniu.”

Szkoły. Uniwersytet syberyjski liczy ogółem 270 studentów, w tej liczbie nowoprzyjętych 100. Wielu z nich cierpi nędzę.

— Ministerium oświaty wyjaśniło, iż kończący 4 klasy gimnazjum lub progimnazjum, jeżeli pragną wstąpić do służby wojskowej w charakterze ochotników 2-go rzędu (od których wymagane jest ukończenie przynajmniej 6-ciu klas), powinni złożyć dodatkowy egzamin z przedmiotów objętych specjalnym programem dla osób nie uczęszczających do zakładów naukowych. Dodatkowe egzaminy odbywać się będą w terminach, ustanowionych dla ochotników 2-go rzędu.

— Minister skarbu zezwolił na wydawanie biletów kolejowych po niższej cenie wychowankom zakładów duchownych i innych naukowych.

— Departament lekarski zawiadomił, właścicieli aptek, że uczniom, którzy praktykę aptekarską przerwali na czas dłuższy niż jeden rok, poprzednia praktyka nie będzie policzona po rozpoczęciu nowej.

Wystawy. Komitet Muzeum przypomina wystawcom, iż w połowie lutego odbędzie się wystawa nasion, zbóż traw, roślin gospodarczych, nawozów itd.

— Na wystawę w Petersburgu pracy kobiet wiele pracowni z Warszawy wysłało swoje roboty.

— W Warszawie przy Muzeum przemysłowym utworzono komisję do pośredniczenia w wystawie środkowo-azyatyckiej w Moskwie.

Przemysł. Do Rady państwa wniesiono projekt udzielania wytwórcom maki przystępnego kredytu w Banku państwa i utworzenia na rynkach mącznych agentur, mających pozostawać pod kontrolą dóbr państwa.

— W tych dniach minister dóbr państwa wniósł do komitetu ministrów przedstawienie, ażeby kopalnie

i zakłady górnicze rządowe w zachodnim okręgu górniczym Królestwa Polskiego sprzedawać osobom prywatnym.

Wypadki. W Tyflisie 9 listopada było trzęsienie ziemi, trwające minuty.

Bibliografia. L. Kondratowicz, *Wybór poezyi*, tom III-ci, wydanie na rzecz wdowy i sierot autora.

— M. Bersohn, *Studenci polacy na uniwersytecie bolońskim w XVI i XVII w.*, str. 23. Jest to zbiór krótkich objaśnień do tytułów, herbów i nazwisk polskich, wypisanych i narysowanych na ścianach klatki schodowej uniwersytetu bolońskiego.

— M. Zielińska, *Szesnaścieletni wojewoda*, powieść dla młodzieży str. 320, Warszawa, Orgelbrand.

— H. Merczyng, *Zasady teorii matematycznej telefonowania z odległości*, str. 16, Warszawa.

Zmarli. Antoni Waga w Warszawie. Najstarszy z przyrodników naszych. Ur. w r. 1799 we wsi Grabowie g. plotkowskiej. Z Wojciechem Jastrzębowskiem odbywał pieszo wycieczki po kraju, w r. zaś 1864 udał się z Ksawerem Branickim do Afryki, skąd przywiózł cenne zbiory. Wybitniejsze prace jego: Atlas do nauki historii naturalnej, „O nowym szczególnym gatunku pszczołowego owadu,” „Historia naturalna,” „Książka dla dobrego chłopca,” „Historia naturalna i opisanie znaczniejszych zwierząt, menażerye von Dintera z Amsterdamu składających,” „Podróż z Berlina do Lipska,” „Rozprawa o naukach przyrodzonych,” „Rozprawa o ptakach,” „Teoria gospodarstwa wewnętrznego, czyli zbiór wiadomości potrzebnych gospodarzom dla użytku Instytutów żeńskich,” „O turach i żubrach” i wiele innych.

— John Cox, historyk angielski w Londynie.

— Otto Fröhlicker, w Monachium; malarz szwajcarski.

— Juliusz Witt, w Królewcu; kompozytor niemiecki.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani S. S. w. Łodzi. W języku polskim nie posiadamy *Historii sztuki*. Co pod tym lub innym (np. *Listy Kremera*) posiadamy, ma wartość albo bardzo małą, albo tylko historyczną.

Maryi Reginie. Rodów talentu nie znaleźliśmy. Wróżyć z tej próbki małej, napisanej pobieżnie — nie możemy.

L. M i R. B. Odcinek mamy tak zapełniony na długo, że obecnie nic nowego do tej rubryki nie przyjmujemy.

Urzędnikowi D. Ż. W. W. Bezlennych zażaleń nie uwzględniamy.

Matce. Redakcja może wiele rad udzielić, ale lekarstwa na otęłość — w żaden sposób. W takiej sprawie potrzebny jest lekarz.

Panu Stef. B. Owszem, druku warta, ale jej pomieścić nie możemy.

Panu K. N. w Karlsr. Z nadesłanego artykułu nie możemy wywnioskować, o co Panu chodzi.

O G Ł O S Z E N I A.

P. A. KRZYMIŃSKI SKŁAD WIN

od roku 1829 egzystujący

w Warszawie, ulica Wierzbowa № 3, dom hr. Krasińskiego

Wina lecznicze, Koniaki prawdziwe poleca.

Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 2.
Chmielewski Piotr dr. Autorki polskie wieku XIX, studium literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.
Gumplowicz L. System socjologii — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.
Henryk Heine. Wybór pism, tom I-y — rs. 1 kop. 20.
A. Okolski. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych A. P. — rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 30.
Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazy, tomów cztery, z port-

retem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.
Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polskiem, studium etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.
Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginalnego angielskiego przełożył Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.
Światelko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1 kop. 80.

Biuro i eksped. Spółki Nakładowej: Warszawa, Marszałkowska, 95.

Wydawnictwa „Prawdy.”

J. Brandes. Główne prądy literatury XIX w., tomów cztery, tłum. K. Lewald — rs. 6.
Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczy niemieckich ułożona — rs. 3.
L. Liard. Logika, tłum. K. Lewald — rs. 1.
A. Espinas. Społeczeństwa zwierzęce, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socjologii — rs. 3.
Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny. Na koszt przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.
E. Taylor. Zmyślność i moralność roślin (w oprawie) — rs. 1 k. 50.
L. H. Morgan. Społeczeństwo pierwotne, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacji, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).
J. Barni i A. Krzyżanowski. Męczennicy myśli (w oprawie) — rs. 1.

W. Okoński. Dramaty (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.
— **O życie,** powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug., Damian Capenko — k. 50.
— **Klemens Boruta,** powieść — k. 40.
— **Niewinni,** dramat w trzech aktach — k. 80, z przesyłką rs. 1.
Dr. Azam. Charakter w zdrowiu i w chorobie — rs. 1.
N. Hirszbard. Byron w urywkach — rs. 1 kop. 20 z przesyłką rs. 1 k. 25.
Dr. F. Rajkowski. Poradnik lekarski wraz z apteką domową (w oprawie), rs. 1, z przesyłką rs. 1 k. 20.
K. Lewald. Historia XIX w. od r. 1800 — 1888 — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.
E. B. Tylor. Antropologia z ilustracjami, w przekładzie A. Bąkowskiej — rs. 2, z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 25.